

PRZEGŁĄD powszechny



miesięcznik

poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym
założony w roku 1884

6 • (1078) • 2011

J E Z U I C I – W A R S Z A W A

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego
Wydawnictwo RHETOS
Pismo stowarzyszone w Konsorcjum Prasowym WAM

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ, ks. Ignacy Bokwa, Aniela Dylus, Michał Jagiełło, ks. Helmut Juros, Jan Kieniewicz, Andrzej Koprowski SJ, Barbara Marcinik, Jerzy S. Olędzki, Krzysztof Renik, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Adriana Szymańska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Sebastian Duda
Jakub Halcewicz-Pleskaczewski
Zbigniew Jałbrzykowski SJ
Tomasz Jędrzejewski
Krzysztof Ołdakowski SJ (redaktor naczelny)
Marta Szymczyk

PROJEKT GRAFICZNY

Robert Maciej

GRAFIKA NA OKŁADCE

Michał Piekarski

PROJEKT LOGO

Teresa Wierusz

OPRACOWANIE TECHNICZNE, SKŁAD I ŁAMANIE

Bożena Goślicka

ADMINISTRACJA

Katarzyna Włodarczyk

„PRZEGLĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa
tel. redakcji (22) 849-02-39
(22) 54-28-726
tel. administracji (22) 54-28-727
tel. fax (48) (22) 848-09-78
e-mail: przeglad.powszechny@jezuici.pl

Prenumerata:

roczna 121,00 zł, za I półrocze 66,00 zł
(cena egzemplarza poza prenumeratą
13,00 zł)

Konto prenumeraty:

Bank BPH O/Warszawa, nr konta:
18 1060 0076 0000 4041 8012 1869

Wydawnictwo RHETOS

tel./fax (022) 849 02 71
www.rhetos.pl
e-mail: wydawnictwo@rhetos.pl

Konto redakcji:

Bank BPH O/Warszawa, nr konta:
35 1060 0076 0000 3200 0102 7014

ISSN 0209-1127

Druk: ARWIL s.c., ul. Czereśniowa 16, 02-456 Warszawa, tel. (022) 722-03-17

Numer zamknięto 25 V 2011 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych
i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.

Maksymalny planowany nakład – 2000 egz.

SPIS treści

Krzysztof Ołdakowski SJ Łaska punktu „zerowego”, czyli sakrament „porażki”	7
---	----------

Pracuj i módl się, żeby ci wyszło Z profesorem Bogdanem Wojciszkiem rozmawia Marta Szymczyk	11
--	-----------

Rozpad instytucji małżeństwa jest bezpośrednim skutkiem wzrostu zamożności społeczeństwa oraz zbyt dużej roli państwa opiekuńczego. Ludzie mogą przetrwać poza małżeństwem, a rodzic staje się niepotrzebny.

Związki niesakramentalne: gorzko-słodkie duszpasterstwo	23
--	-----------

Z o. Wojciechem Nowakiem SJ, duszpasterzem
osób rozwiedzionych, pozostających w separacji
oraz żyjących w związkach niesakramentalnych,
rozmawia Krzysztof Ołdakowski SJ

W Kościele „niesakramentalni” spotykają się z postawą życzliwej bezradności – zachęca się ich do praktykowania wiary, ale nie bardzo potrafi odpowiedzieć na ich pytania.

Maria i Lucjan Polakowie My, niesakramentalni	35
--	-----------

Z upływem czasu widać wyraźniej, jak wiele musi się zmienić w mentalności wiernych i – przede wszystkim – w stosunku kapłanów do problemu powtórnych małżeństw. Ze strony Kościoła często spotykamy się z ignorancją.

ks. Andrzej Cieślik Msza także dla osób po rozwodzie	43
---	-----------

Staram się zachęcić wszystkich małżonków niesakramentalnych do tego, by nie bali się różnorodnych form zaangażowania

w Kościele. Nie zawsze będzie to dla nich łatwe. Ludzie potrzebują czasu, i dla wielu takie zaangażowanie się będzie trudne do przyjęcia.

54

Tomasz Gałkowski
Małżeństwo już nieważne?

**O co chodzi w kanonicznym procesie o stwierdzenie
nieważności małżeństwa?**

Daje się zaobserwować coraz większe zainteresowanie kwestią kościelnych procesów o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Czy trudno uzyskać „rozwód” w Kościele? Z jakich przyczyn małżeństwo jest nieważne?

66

Dk. Bogdan Sadowski
Bóg powiedział raz, dwa razy usłyszałem (Ps 62,12)

71

Wiara i tajemnica

Z Krzysztofem Doroszem rozmawia Sebastian Duda

Dochodząc powoli do wiary, byłem przekonany, że muszę ciągle przechodzić przez drogę paradoksów. Czułem, że tylko w ten sposób będę mógł mieć uczciwy udział w chrześcijaństwie. Samo przyjęcie prawd wiary, bez próby ich zrozumienia, zdecydowanie mi nie wystarczało.

84

Marcin Cielecki
Przemysleć czas, przemysleć wiarę

„Bóg i terror historii” Krzysztofa Dorosza to książka, jakiej dawno u nas nie było. I pewnie długo nie będzie. Krzysztof Dorosz samotnie podąża ścieżką myśliciela religijnego. Godną pozadrodzczenia.

93

Zbigniew Kubacki SJ
Między wiarą a niewiarą

Akt religijnej wiary w Boga porównywalny jest jedynie do aktu miłości, gdy jeden człowiek mówi do drugiego: Dobrze, że jesteś. Kocham cię. Podobnie jak miłość – wiara, nie będąc konieczna, jest bardziej niż konieczna. Nadaje życiu najgłębszy sens.

Tomasz Jędrzejewski

Sław miłość. Czesław Miłosz o miłości

107

Miłosz raczej nie pisał wierszy bezpośrednio o miłości, chociaż wierszy napisał grubo ponad tysiąc. Jakże to? Czy można po prostu zgodzić się, że uchylił się od tematu, który jest podstawowym pokarmem literatury, a poezji to już szczególnie?

Smakowanie codzienności

117

**Z Anną Fostakowską, dziennikarką i reporterką,
rozmawia Eliza Leszczyńska-Pieniak**

Dziś pewnie nikt by nie puścił reportażu w odcinkach. Zaraz by je pocięli, zostaliby kilka faktów. Musimy być tak fajni, tak prze-myśli, tak sprytni, by w tej krótkiej formie zawrzeć wszystko. Czasami to się udaje, ale przeważnie nie wychodzi.

Wacław Oszajca SJ

Wiersze

128

TEATR

Paulina Borek-Ofiara: Globalne niewolnictwo?

134

(Scena Współczesna w Warszawie, „Fejs Bóg”, Duet Artystyczny ME/ST; reżyseria – Szymon Turkiewicz)

MUZYKA

**Urszula Ciołkiewicz-Latek: Muzyka światła
i przestrzeni**

136

(Justyna Reczeniedi, Jerzy Zelnik, Trio Con Passione,
„Pomiędzy światem a nami”)

FILM

Piotr Pieńkosz: Wgryźć się w życie

138

(„Erratum”; reżyseria – Marek Lechki)

TELEWIZJA

Jan Kłossowicz: Czarnobyl

140

(„Powrót Sceny Faktu”)

KSIAŻKI

- 144 **Adriana Szymańska: Chwila i nicość**
(Jan Sochoń, „Powtórzenie raju”; „Uspokój się”)
- 147 **Mieczysław Orski: Wielka opowieść**
(Jan Pieszczachowicz, „Ku wielkiej opowieści. O życiu i twórczości Kornela Filipowicza”; „Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu”)
- 150 **Małgorzata Felicka: Rozwiedziony katolik**
(Maciej Müller, Tomasz Ponikło, „Miłość z odzysku. Nowy związek – jak żyć w Kościele”)
- 153 **Marek Blaza SJ: Czy można się rozwieść po katolicku?**
(Aleksander Sobczak, „Stwierdzenie nieważności małżeństwa i inne małżeńskie procesy kościelne”)
- 155 **Jacek Poznański: Ocalić Boga czy ocalić wiarę?**
(Ks. Andrzej Draguła, „Ocalić Boga. Szkice z teologii sekularyzacji”)
- 158 **Emilia Kolinko: Przerwana lekcja historii antycznej**
(Jacek Bocheński, „Antyk po antyku”)
- 160 **Jerzy Klechta: Spowiedź Sławomira Mrożka**
(Sławomir Mrożek, „Dziennik t.1 /1962-1969/”)
- 164 **Krystyna Jakowska: Daleko od stereotypu**
(Kaja Malanowska, „Drobne szaleństwa dnia codziennego”)



Łaska punktu „zerowego”, czyli sakrament „porażki”

Wielu nowożeńców przystępujących do ołtarza teoretycznie wie, na czym polega chrześcijańskie małżeństwo, ale za tą wiedzą praktycznie nic się nie kryje. Mam wrażenie, że to związki „czysto naturalne”, niesione falą emocji, jakim nie towarzyszy głębsza świadomość słów wypowiedzianych podczas przysięgi. Znam takie małżeństwa, w których ludzie spadali z wysokiego piedestału oczekiwań i wyobrażeń. Najpierw stawali się tak ważni, że przesłaniali sobą cały świat i Pana Boga, a potem nagle przestawali się liczyć. Nienawiść wchodziła w miejsce miłości. Okazuje się, że bardzo potrzeba realistycznego spojrzenia na siebie, nieoczekiwania zbyt wiele i niestawiania zbyt wygórowanych wymagań, którym nie można sprostać, bo jest się tylko człowiekiem. Oglądałem kiedyś film „Droga do szczęścia”. Dwoje ludzi, po przejściu pewnego odcinka wspólnej drogi, zaczęło doświadczać wypalenia, czuli się, jakby zastygli w rutynie wzajemnych relacji, codziennie powtarzanych obowiązków i oto nagle ona wpadła na pomysł wyjazdu do Paryża. Nie chodziło tutaj o konkretne miejsce, ale o zmianę kierunku i twórczą reakcję na poczucie wygasającego ognia miłości. Wszystko było kiedyś takie piękne, pozostały tylko wspomnienia, zdjęcia i dzieci. Bohaterowie nie poszli jednak za porywem chwili, chociaż ułożyli sobie plan wyjazdu. Przestraszyli się tego, co nowe i niepewne. Wybrali stabilizację i spokój, życie w dobrze znanym świecie, w funkcjonalnym i wygodnym domku, pośród podobnych

sobie ludzi, w pracy, która kompletnie ich nie interesowała, ale przynosiła wymierne zyski. Ta rezygnacja, zgoda na poprawny i spokojny styl życia stała się przyczyną klęski i załamania.

W Stanach Zjednoczonych rozwodem kończy się 45 procent pierwszych małżeństw i aż 60 procent drugich. W 80 procentach przypadków następuje to w pierwszych dziesięciu latach istnienia związku. Aż 25 procent Amerykanów między osiemnastym a czterdziestym piątym rokiem życia ma rozwiedzionych rodziców. W 2000 roku w Rosji na sto zawartych małżeństw odnotowano aż 70 rozwodów. W świadomości społecznej rozwód funkcjonuje jako „rzecz normalna”, która może przydarzyć się każdemu. Jedna trzecia małżeństw zawieranych każdego roku w Polsce rozpada się. Trwają one coraz krócej. Każdego roku blisko 60 tysięcy dzieci przeżywa rozwód rodziców.

Ludzie po rozwodach, żyjący w nowych związkach czują się często tak, jakby byli poza Kościołem, nieakceptowani i wręcz odrzuceni przez Pana Boga. Tymczasem otwartość na Ducha Świętego można również zachować, kiedy żyje się w separacji i po rozwodzie w nowym związku, poprzez słuchanie słowa Bożego, uczęszczanie na mszę świętą, trwanie na modlitwie, angażowanie się w dzieła miłości oraz inicjatywy na rzecz sprawiedliwości, a także wychowywanie dzieci na dobrych i przyzwoitych ludzi. Chociaż niektórzy nie mogą przystępować w pełni do sakramentów świętych, to warto przypomnieć, że Pan Bóg nie jest „więźniem” tych sakramentów, zwłaszcza jeśli są przyjmowane automatycznie i bezrefleksyjnie oraz nie idzie za nimi postawa życia. Przypomnę tu zdanie kardynała Josepha Ratzingera, który jako prowadzący rekolekcje watykańskie w 1983 roku powiedział, że w jakiś sposób *niemożność przyjmowania komunii sakramentalnej może stać się środkiem duchowego postępu, środkiem pogłębienia wewnętrznej komunii z Kościołem i Panem, w cierpieniu coraz większej miłości, w oddaleniu umiłowanego*. Może też być tak, że nie przystępując do sakramentu pojednania i nie otrzymując rozgrzeszenia, dajemy wyraz większego szacunku do tego sakramentu oraz świadectwo prawości sumienia większe niż ci, którzy spowiadają się często, ale nic z tego nie wynika.

Prawda o istocie sakramentu małżeństwa ciąży wielu ludziom. Jest on przecież „znakiem” nierozzerwalnego Przymierza między Bogiem a ludźmi, „świadcstwem” wiekiustego Przymierza między Chrystusem a wstyskkimi tworzącymi Kościoł, czyli Jego Oblubie-nicę. To przymierze ze strony Pana Boga nie może wygasnąć. On nie może przestać nas kochać. Czasami rodzi się pokuśa uspra-wiedliwienia za wszelką cenę swojego postępowania, nawet za cenę zlekceważenia i przekreślenia prawdy, na przykład dotyczącej małżeństwa. Wtedy ulegamy złudzeniu, że tak będzie prościej i spokojniej żyć. To droga w pewnym sensie łatwiejsza. Wielu ludzi tak żyje i nie robi z tego żadnych problemów. Przyjąć prawdę o małżeństwie w całej pełni, zwłaszcza wtedy, gdy z różnych powodów nie żyje się nią, oznacza skazać siebie na rozdarcie i cierpienie. Można bez przesady powiedzieć, że to forma udziału w Krzyżu Chrystusa.

Nie ulega wątpliwości, że Kościoł ma misję wobec rozwiedzio-nych, ale również oni mają specyficzną misję wobec niego. Nie powinna się ona wyrażać, jak sądzę, jedynie w przynależności do określonych grup refleksji i wsparcia. Chociaż takie wspólno-ty są potrzebne, nie należy zamknąć się w jakimś problemowym getcie, w którym rozmawia się w kółko o tym samym. Nasze cza-sy potrzebują szczególnego potwierdzenia wartości sakramentu małżeństwa jako trwającego związku kobiety i mężczyzny. To, że się nie udało, nie znaczy, że nie wiemy, jak powinno być. Potrzeba jasności w zamęcie prób przeddefiniowania małżeństwa ogarniają-cym nasze społeczeństwo. Właśnie od rozwiedzionych powinien wychodzić jasny sygnał, że sakrament małżeństwa trzeba trakto-wać poważnie i odpowiedzialnie, a nie tylko jak uroczystą chwilę. Po rozwodzie, w nowym związku czy w separacji potrzebne jest świadectwo wyrażające się choćby w minimalizowaniu strat. Do-tyczy to wielu dziedzin życia zarówno dzieci, jak i byłego współ-małżonka. Przecież nadal można troszczyć się o ich życie i rozwój. Nie należy manipulować uczuciami dzieci w czasie rozwodu i po nim. Nie powinno się przedstawiać byłego współmałżonka w jak najgorszym świetle. O ile to możliwe, dzieci powinny mieć prawo do miłości obojga swoich rodziców. Rany rozstania można leczyć

tylko wtedy, gdy pozostaje się wspólnotą. Jak pragnienie świętości żyje w grzesznym ciele, tak wyzwanie wierności wymaga od człowieka, który dopuścił się zdrady, odwagi sprostania mu. Dzieci nie powinny płacić ceny za błędy rodziców. Rozwód nie jest i nie może być ostatecznym rozstaniem. Bo można i trzeba być wiernym. Zwłaszcza dzieciom.

Nikt na początku drogi małżeńskiej nie zakłada, że skończy się ona niepowodzeniem. Ludzie przez wiele lat próbują ocalić swoje małżeństwo w imię przyrzekanej wierności oraz dla dobra dzieci. Pomimo najszczerzych chęci nie zawsze się udaje. Porażka życiowa może jednak doprowadzić do pogłębionej świadomości siebie i odkrycia bliskiej obecności Boga.

Krzysztof Ołdakowski SJ



Pracuj i módl się, żeby ci wyszło

O miłości, małżeństwie i rozwodach z profesorem Bogdanem Wojciszkiem rozmawia Marta Szymczyk

– W swojej słynnej książce „Psychologia miłości” mówi pan o kilku fazach związku oraz o trzech podstawowych składnikach miłości, jakimi są *namiętność*, *intymność* (bliskość) i *zaangażowanie*. Faz w sumie jest pięć, a czasem niestety sześć. Mówię „niestety”, gdyż ostatnim etapem wymienionym przez pana jest *rozpad związku*.

– Zasadniczo każdy związek ma kilka faz. Są to: *zakochanie*, kiedy podstawowym składnikiem relacji jest *namiętność*; *romantyczne początki* – tu dominantą jest połączenie *namiętności* i *intymności*; *związek kompletny* – w tej fazie ludzie najczęściej pobierają się; to etap, w którym występuje równowaga trzech podstawowych składników miłości: *namiętności*, *intymności* i *zaangażowania*; następnie mamy *związek przyjacielski*, opierający się na *intymności* i *zaangażowaniu*, ale już bez *namiętności*. Przedostatnim etapem jest *związek pusty*, charakteryzujący się tym, że jest zaangażowanie, ale nie ma już ani *intymności*, ani *namiętności*, a ostatni etap to *rozpad związku* – wtedy, gdy nie ma nawet zaangażowania.

To oczywiście tylko model, ale rzeczywiście najczęściej tak to właśnie wygląda. Na początku ludzie przeżywają miłość romantyczną, niejednokrotnie od pierwszego wejrzenia. Badania sondażowe pokazują, że jest to doświadczenie większości ludzi wszędzie na świecie. Wszystko wskazuje na to, że etapy wyglądają bardzo

podobnie u różnych par i nawet przebiegają w podobnym tempie – zakochani jesteśmy mniej więcej rok, romantyczne początki trwają jakieś dwa lata i tak dalej.

Czy wszyscy muszą popadać w związek pusty, w którym nie ma już porywów serca i przyjaźni i który jest wstępem do rozpadu związku? Nie wszyscy muszą i nie wszyscy popadają.

– Z trzech składników miłości, o których tu wspomnieliśmy, akurat w naszej kulturze przywiązujemy dużą wagę do namiętności. Bez niej trudno nam sobie wyobrazić miłość, przynajmniej w jej początkowej fazie. Jednocześnie twierdzi pan, że zanikanie namiętności jest czymś nieuchronnym i nieuniknionym. To dość pesymistyczna wizja.

– Na namiętność niewiele da się poradzić – pojawia się, a potem znika bez naszej woli, a już na pewno pomimo niej. Ze swej natury może ona tylko rosnąć, co jest po prostu niemożliwe. Jeśli osiągnie *constans*, to jest już z nią coś nie tak. Namiętność wymaga absolutnego uwielbienia partnera, a to jest możliwe tylko za cenę braku realizmu w jego ocenie. Poza tym, nie znosi konkurencji – kiedy pojawiają się dzieci, obowiązki, to siłą rzeczy ona spada.

Z zanikiem namiętności niewiele możemy zrobić, jednak przyjaźń i intymność to coś, o co możemy zadbać. Tu możemy przeciwdziałać spadkom. Dlatego niektórym ludziom udaje się stworzyć zdrowy, długotrwały związek, a innym nie. Zapewne dzieje się tak z dwóch powodów: jeden to jest to, czy się chce, a drugi – czy się potrafi zrobić coś dla związku.

Kiedyś nie bardzo był sens zadawać pytanie o to, czy się chce utrzymać związek, ponieważ presja społeczna była tak silna, że generalnie wszystkim się chciało. Problem tkwi raczej w tym, czy ludzie potrafią coś zrobić czy nie – niestety najczęściej nie potrafią. Generalnie jesteśmy mało otwarci na wiedzę o samych sobie. Jest wiele bardzo prostych prawidłowości psychologicznych, których istnienie niestety często nie dociera do naszej świadomości.

– Pierwsze etapy miłości – zakochanie i romantyczne początki – właściwie nie wymagają od nas wkładania żadnego wysił-

ku. Być może chcielibyśmy, żeby na dalszych etapach również „działo się samo” zupełnie tak, jak to było na początku. Może nie jesteśmy przygotowani na to, że w późniejszych fazach nad związkiem trzeba pracować?

– Rzeczywiście początkowe etapy miłości mogą nas trochę uśpić, gdyż nie musimy specjalnie ingerować w ich przebieg, bo i tak wszystko jest dobrze. To zabójcze, ponieważ miłość ze swej natury to zjawisko dynamiczne. To, co jest potrzebne w ciągu pierwszych dwóch lat trwania związku, nie jest tym samym, czego będziemy potrzebować w dwudziestym drugim roku jego istnienia. O ile na początku utrzymanie relacji nie wymaga od nas zbyt dużego wysiłku, o tyle później trzeba w coraz większym stopniu nad związkiem pracować.

– *Dynamiczna natura miłości – to, że zasadniczo każdy związek przechodzi przez etapy, o których wspomnieliśmy na początku – jest i straszne, i pocieszające jednocześnie. Straszne, ponieważ w związkach zachodzą procesy, na które nie mamy zasadniczo wpływu – wynikają one właśnie z kolejnych faz rozwoju naszego uczucia – pocieszające zaś, gdyż dzięki zrozumieniu dynamicznego charakteru miłości możemy przestać obwiniać samych siebie czy też partnera za rzekome „niepowodzenia”, na przykład za to, że w pewnym momencie namiętność zeszła na dalszy plan i ustąpiła miejsca przyjaźni.*

– Myślę, że często mieszamy marzenia z rzeczywistością. Ludzie chcą, żeby związek był cały czas taki sam jak na początku. Kiedy zasycha nam w gardle na widok partnera i serce nam kołacze, to jeśli trwa to przez dwa lata – doskonale. Gdyby jednak trwało przez dwadzieścia dwa lata, po prostu trudno byłoby to przeżyć. Jest to zupełnie nierealistyczne. Dlatego właśnie miłość na różnych etapach wygląda inaczej, z czym wielu osobom trudno się pogodzić.

– *W wielu kulturach czynnikiem decydującym o wyborze partnera życiowego nie są porywy serca, ale czysta kalkulacja. Okazuje się, że związki zawierane w ten sposób są bardziej trwałe, choć nie wnioskuję z tego, czy bardziej szczęśliwe.*

– Jesteśmy dzisiaj jedną z bardzo nielicznych kultur w dziejach, które czynią z namiętności kryterium wyboru partnera. Tradycyjnie związek dwojga ludzi był sojuszem rodzin. W różnych klasach społecznych chodziło o różne aspekty tego sojuszu – najwyraźniej widać to u koronowanych głów.

Z punktu widzenia trwałości związku namiętność, do której w naszej kulturze tak przywiązujemy wagę, jest zgubna. Nie jest ona czymś, na czym da się zbudować trwałe związki.

– *Dlaczego tak wiele związków się rozpada?*

– W naszym świecie dużą rolę ogrywają dwie rzeczy – po pierwsze jest to możliwość wyboru tego, czy zostaje z partnerem czy też nie, po drugie chodzi o czynnik ekonomiczny – dzisiaj na rozstanie i rozwód nas po prostu stać. Ten ostatni element jest szczególnie ważny.

Małżeństwo najszybciej upadło w Skandynawii – a dokładnie w Szwecji. Rozpad tej instytucji był bezpośrednim skutkiem wzrostu zamożności społeczeństwa oraz zbyt dużej roli państwa opiekuńczego, które zajęło się również rodzinami. W momencie, kiedy państwo zaczyna przejmować funkcje jednego z rodziców, to realny rodzic staje się niepotrzebny. Cynicznie to brzmi, prawda? Jeżeli państwo łoży na dziecko, czyli robi to, co dotąd robił mężczyzna, to taki mężczyzna staje się niepotrzebny, bo lepiej jest mieć czysty czek od państwa czy przelew bankowy niż faceta z jego brudnymi skarpetkami.

– *Czyli paradoksalnie nadmierna troska państwa owocuje rozbićciem rodziny.*

– Państwo nie może ingerować tak głęboko w życie obywateli, ponieważ skutki są dokładnie odwrotne do zamierzonych.

Wzrost zamożności powoduje też, że ludzie mogą przetrwać poza małżeństwem. W Polsce nie jest to jeszcze tak widoczne. Większość ludzi w naszym kraju to osoby, które mają wykształcenie co najwyżej zawodowe. Takim ludziom trudno jest przetrwać w pojedynkę. Jeżeli czynsz za mieszkanie rozkłada się na dwie pensje, dużo łatwiej jest przeżyć miesiąc. Tak zresztą było za-

wsze w historii – rozwód był luksusem, na który mogli sobie pozwolić tylko bogaci.

Jest jeszcze jeden czynnik, który wpływa na coraz większą nie trwałość związków – ma on kolosalne znaczenie, mimo że też jest prawie niewidoczny przez swoją powszechność. Kiedy małżeństwo było sojuszem rodzin, to tak naprawdę nie było ono wspólnotą, ale przede wszystkim kontraktem. Kontraktowa natura małżeństwa dzisiaj wraca do łask, ale w trochę innej formie. Dzisiaj małżeństwo jest to kontrakt w tym sensie, że zakładamy niemal bezwiednie, że ta druga strona jest po to, żeby mnie uszczęśliwić. Osobiste dążenie do szczęścia, które dzisiaj jest bardzo silnym motywem wchodzenia w związek, kiedyś w ogóle nie istniało w takiej postaci.

Podam przykład. Byłem bardzo późnym dzieckiem mojej mamy, chłopki z urodzenia i wychowania. W pewnym momencie przeniosła się ona do miasta, ale zasadniczo mentalnie pozostała chłopką z końca XIX wieku. Dzięki temu miałem bezpośredni wgląd w to, jak ludzie myśleli w owym XIX wieku. Dla mojej mamy taka kategoria jak dążenie do szczęścia w ogóle nie istniała. Miała ona pewną wizję przyzwoitego życia, tego, co powinna zrobić, jak powinna się zachować, ale żeby coś robić dla przyjemności, dla własnego ja, to jej w ogóle nie przychodziło do głowy. Po prostu ludzie kiedyś nie myśleli takimi kategoriami jak my, nikt nie uważał, że partner jest po to, żeby mnie uszczęśliwić. Dzisiaj – zważywszy na ogólną konsumpcjonistyczną postawę w kulturze – jeśli cokolwiek nas nie satysfakcjonuje, to wymieniamy to na lepszy model.

– Dzisiaj bardzo podkreślane są wartości indywidualistyczne, samorealizacja, potrzeba koncentracji na osobistym dążeniu do szczęścia. Promowany jest też romantyczny model miłości. Nakarmieni taką mieszańką, zaczynamy mieć względem siebie i swojego partnera nierealistyczne oczekiwania...

– Zdecydowanie tak jest, ale nie zapominajmy, że te wzorce kulturowe odgrywają też bardzo pozytywną rolę, ponieważ rozbudza ją w ludziach pragnienie tego, żeby miłość była pełna, namiętna – takie pragnienia są bardzo dobre. Podobnie jest z wszechogarnia-

jącą konsumpcją. Z jednej strony jest to paskudne, że na każdym kroku słyszymy: „jak nie konsumujesz, to nie żyjesz” (bo *de facto* taki jest przekaz większości reklam, które pokazują, że dopiero jak kupisz to czy tamto, to możesz poczuć się jak człowiek), ale z drugiej strony trzeba zauważyć, że ma to niesłychanie pozytywny i motywujący charakter. Przekłada się między innymi na to, że ludzie stają się bardziej produktywni i aktywni – więcej działają, bo więcej pragną. Kiedyś ludziom w ogóle nie przychodziło do głowy, żeby chcieć. Dzisiaj, dzięki temu, że więcej chcemy, życie robi się znacznie ciekawsze i bogatsze. Oczywiście ma to swoje negatywne skutki – jeśli ktoś ma za bardzo rozdęte oczekiwania, to bardzo trudno będzie mu je spełnić. Tak samo jest i w miłości, i w konsumpcji. Jest to właściwie nierozwiązywalny problem.

– *Może problemem jest po prostu brak proporcji w tym przekazie kulturowym. Mamy bardzo dużo filmów, powieści, piosenek, które promują miłość romantyczną, a prawie w ogóle brak tekstów kultury, które dawałyby nam jakąś odpowiedź, co zrobić z tą miłością, która się pojawia później, gdy już nie mdlejemy z zachwytu na widok naszego partnera. Mówiąc krótko, kultura nie za bardzo dostarcza nam wzorców przeżywania miłości nieromantycznej, mimo że to właśnie taką miłością kochamy naszych partnerów przez większość życia.*

– Zdecydowanie tak jest. W popkulturze nie mamy za dużo takich wzorców, ale popkultura jest ze swej natury prosta w przekazie, zawsze nadaje to, co najłatwiej zrozumieć. Natomiast w literaturze pięknej XX wieku to już się pojawiło, a musiało się pojawić, bo zmieniły się proporcje między okresem przeżywania miłości romantycznej i nieromantycznej. Ta druga zaczęła po prostu zajmować większą część naszego życia, ze względu na dość banalny czynnik, jakim jest to, że żyjemy dłużej. Nagle pojawiły się pary, które są ze sobą po pięćdziesiąt lat. Kiedyś takich par nie było, bo zwyczajnie jeden z partnerów umierał. Dzisiaj ludzie żyją ze sobą bardzo długo i siłą rzeczy ich miłość przez większość życia romantyczna nie jest – choćby dlatego, że znika namiętność, jak to już tu powiedzieliśmy.

Zmiana długości życia jest czymś niesłychanym – umyka to nieco naszej uwadze. Pamiętam przedruk artykułu prasowego donoszącego o jednym z pierwszych wypadków samochodowych. Opis ten kończył się takim mniej więcej zdaniem dotyczącym ofiary tegoż zajścia: „Czterdziestoletniego starca odwieziono do szpitala”. W tamtych czasach czterdziestolatek był starcem, podczas gdy dzisiaj jest co najwyżej osobą w średnim wieku.

– Obok coraz większej powszechności rozwodów – według danych GUS liczba rozwodów w Polsce w ciągu dwudziestu ostatnich lat się podwoiła – można zauważyć inne zjawisko, mianowicie spadek liczby zawieranych małżeństw. Badania CBOS przeprowadzone w marcu 2008 roku pokazały, że w opinii Polaków mężczyźni odkładają decyzję o założeniu rodziny lub jej po prostu w ogóle nie zakładają, gdyż wybierają życie bez zobowiązań, a kobiety nie zakładają rodziny... z obawy przed nieudanym związkiem.

– Lęk przed nieudanym związkiem rzeczywiście w dużo większym stopniu dotyka kobiety niż mężczyzn. Związane jest to między innymi z dwukarierowością kobiet. Dzisiaj pracują one zawodowo, a po pracy mają jeszcze wiele obowiązków w domu, muszą zająć się dziećmi. Kiedyś było to zupełnie nieznane. To kobiety przeżywają konflikt – rzadko mówi się o takim konflikcie w przypadku mężczyzn. Innymi słowy inwestycje kobiet w związek są znacznie większe, a tym samym w przypadku niepowodzenia to one ponoszą dotkliwsze konsekwencje.

Jest tutaj jeszcze jeden element, o którym warto wspomnieć w kontekście spadku liczby zawieranych małżeństw – chodzi mianowicie o rosnącą dysproporcję poziomu wykształcenia kobiet i mężczyzn. Szacuje się, że jest około 500-600 tysięcy kobiet, które mają lepsze wykształcenie niż mężczyźni. Tu pojawia się konflikt, bo tradycja jest taka, że kobiety wychodzą za mąż trochę powyżej swojej pozycji społecznej lub przynajmniej na równi z tą pozycją. Świetnym przykładem jest Kate Middleton, która dzięki mariażowi z księciem Williamem stała się księżniczką. W drugą stronę raczej to słabiej działa. I tak było zawsze.

– Jednym słowem, jeśli kobiety są bardziej wykształcone niż mężczyźni, to zaczyna w sensie dosłownym brakować kandydatów, którzy społecznie są trochę wyżej lub przynajmniej na równi...

– Otóż to. Niemożność znalezienia odpowiedniego partnera przekłada się na niechęć do zawierania małżeństw. Ta niechęć do sformalizowanego związku bierze się również z podejrzeń, że zawarcie go nie będzie najlepszym sposobem na moje osobiste szczęście. Proszę zauważyć, że kiedyś w ogóle nie było kontrpropozycji dla małżeństwa, szczególnie dla kobiet. Dzisiaj sytuacja się zmieniła.

– *Zmienił się też model rodziny.*

– Rodzina się rozmywa, coraz częściej przypomina *patchwork* – w jednej rodzinie mamy dzieci z różnych związków. Przestaje to być w tej chwili zupełnie wyjątkową sytuacją, staje się to po prostu normą. Można się oburzać i moralizować, ale tak właśnie dzisiaj to wygląda. Ludzie mają po prostu zdolność dopasowywania się do tego, co dyktuje im życie.

– *Czy to nie jest tak, że rozwód dzisiaj zaczął być traktowany jak łatwy sposób na rozwiązanie problemów małżeńskich?*

– Trochę tak jest. W Stanach poszło to bardzo daleko, a i u nas zaczyna dziać się podobnie. Przejawia się to na przykład w stosunku do dzieci. W Ameryce uważa się, że dla dzieci bardziej szkodliwe jest pozostawanie w skonfliktowanej rodzinie niż poza nią. Jednym słowem, króluje przekonanie, że lepsze dla wszystkich, w tym dla dzieci, jest wycofanie się z konfliktu niż trwanie w nim, walka czy szukanie alternatywnych rozwiązań. Psycholog powiedziałyby, że jest to typowa racjonalizacja, czyli dorabianie racji do działania powziętego z innych powodów.

– *Dlaczego niektóre pary się rozstają, a inne nie?*

– Jest to dość mało zbadana sprawa, głównie z powodów etycznych. Trudno jest ludzi dręczyć pytaniami, kiedy im rozpada się związek. Ale wiele wskazuje na to, że tutaj dużą rolę odgrywają czynniki zewnętrzne, które nie mają nic wspólnego ze stosunkami w obrębie pary.

– *Na przykład?*

– W przypadku rozpadu związku bardzo istotnym czynnikiem jest wiek. Jeśli nas dopadnie pusty związek, kiedy jesteśmy już starsi, na przykład po pięćdziesiątce, to w zasadzie nie mamy już nadziei na lepszą możliwość. Dlatego staramy się załagodzić konflikty na tyle, żeby dało się wytrzymać z partnerem. Ale kiedy dopada to nas, kiedy mamy trzydzieści pięć czy czterdzieści lat, to jesteśmy bardziej skłonni ten związek porzucić, bo jest jeszcze nadzieja na inną miłość.

Tu pojawia się też bardzo duża niesprawiedliwość biologiczna. Trajektoria zmiany wartości kobiety i mężczyzny bardzo się rozchodzą i ma to wyraźny związek z wiekiem. Niestety tak jest, że zazwyczaj mężczyzna ma więcej tego, co jest męskie, kiedy robi się starszy. W wielkim uproszczeniu chodzi o pozycję społeczną i o zasoby. W każdej cywilizacji, w której występuje jakakolwiek tezauryzacja dóbr, zazwyczaj dobra te należą do starszych mężczyzn. Męski nie jest ktoś, kto ma tors jak Arnold Schwarzenegger, ale facet, który zaprosi panią do Sheratona i jeszcze przyjedzie bentleymem. Taki status nabywa się zazwyczaj z wiekiem.

Kobiecość jest z kolei dziewczęca.

– *Kobiety wraz z wiekiem tracą swoją kobiecość.*

– Niestety tak jest. Wielu mężczyzn znacznie lepiej się starzeje niż kobiety. Proszę spojrzeć na Seana Connery'ego – przecież on w wieku lat sześćdziesięciu wyglądał lepiej niż w wieku lat czterdziestu. Niestety prawie nie ma kobiet, o których dałoby się powiedzieć to samo. Wraz z wiekiem wartość matrymonialna kobiety spada, a mężczyzny rośnie.

U nas tego jeszcze tak nie widać, ponieważ w większości przypadków do rozwodu dochodzi dlatego, że kobieta chce się uwolnić od męża alkoholika.

– *Sytuacja jest nieco paradoksalna. Statystyki pokazują, że większość pozwów o rozwód jest składana przez kobiety. Dzieje się tak, mimo że wraz z wiekiem mają one coraz mniejszą szansę na powtórne małżeństwo czy po prostu związek, gdyż ich atrak-*

cyjność matrymonialna spada. Może kobiety w mniejszym stopniu tolerują niesatysfakcjonujący je związek niż mężczyźni?

– W pewnym wieku, powiedzmy po czterdziestce, większość kobiet nie liczy już na inny związek, tylko na święty spokój i uwolnienie się od uciążliwego partnera. Z wyjątkiem alkoholików i tych, którzy są na samym dole, mężczyźni liczą na powtórne małżeństwo. Wymiana modelu w wieku czterdziestu – pięćdziesięciu lat na nowszy jest świadectwem sukcesu życiowego mężczyzny.

Wydaje się, że kobiety i mężczyźni rozwodzą się z innych powodów. Jeśli mężczyzna jest bardzo uciążliwy, pije, nie łoży na rodzinę, to według kobiet lepiej po prostu zrezygnować z takiego związku, niż w nim trwać. Kobiety są też bardziej zniewolone przez tradycję, przez narzuconą im rolę społeczną. Mąż przychodzi z pracy i odpoczywa, ona przychodzi z pracy i jeszcze pracuje cztery godziny w domu. W miarę trwania takiego związku uciążliwość tego jest na tyle duża, że kobiety mówią sobie: „dosyć tego”.

Niestety ta odrobina braku realizmu, która zawsze nam towarzyszy na początku związku (gdybyśmy byli zupełnie realistyczni, w ogóle byśmy się nie wiązali), w końcu przegrywa z życiem i z twardą rzeczywistością. Wtedy często podejmowana jest decyzja o rozwodzie.

– Parafrazując modlitwę Kurta Vonneguta, można chyba powiedzieć, że aby zbudować szczęśliwy związek, potrzeba nam sił, abyśmy zmienili w naszym związku z bliskim człowiekiem to, co zmienić można, cierpliwości, abyśmy potrafili wytrzymać to, czego zmienić nie można, i mądrości, abyśmy potrafili odróżnić jedno od drugiego.

– Tak też myślę. To dotyczy nie tylko związków, ale chyba na tym polu najbardziej to widać. Pewnych rzeczy nie da się zmienić w ludziach – to jest oczywiste. Niektóre badania pokazują nawet, że już po trzydziestce cechy człowieka zasadniczo się nie zmieniają, człowiek jest już ukształtowany. W obliczu tego mamy dwie strategie – albo unikać danej sytuacji i uciec, albo pokochać taki stan rzeczy. Jest to postulat „bądź mądry i rozróżniaj”. Problem polega tylko na tym, że człowiek jest mądry wtedy, kiedy mleko już

się rozlało. Jednak większość par trwa w związkach i sobie radzi, więc nie jest tak strasznie.

– *Na ile w takim razie możemy wpływać na sukces naszego związku, skoro pewnych rzeczy, jak na przykład cech, zmienić już nie możemy?*

– Generalnie wpływ naszych cech na nasze szczęście jest bardzo niewielki, w przeciwieństwie do tego, co robimy. Cechy mają bardzo słaby związek z zachowaniem. Czyli jeśli ktoś jest introwertym, to i tak może iść na przyjęcie i się zabawić.

Jednym słowem, tym, co wpływa na kondycję naszego związku, jest to, co robimy, a nie to, jacy jesteśmy.

– *Czy możemy w takim razie przewidzieć, z kim nam się ułoży, a z kim nie?*

– Nie możemy tego stwierdzić na podstawie cech, natomiast możemy na podstawie zachowań. W tym kontekście warto pamiętać o dość smutnej zależności – zło jest silniejsze od dobra. Innymi słowy, efekt dowolnego aktu złego jest nieporównywalnie silniejszy niż efekt aktu dobrego. Właściwie wszystkie pary, które się rozstają, są święcie przekonane, że partner przyniósł im o wiele więcej złego niż dobrego, chociaż gdybyśmy codziennie zliczali dobre i złe uczynki, to okazałoby się, że jest dokładanie odwrotnie. W związkach nie pamiętamy tego, co dobre, a pamiętamy to, co złe. Największa mądrość polega na uświadomieniu sobie tego właśnie. Jest to mechanizm nadreakcji na zło. Kiedyś było to zupełnie uzasadnione – czyhały na nas takie niebezpieczeństwa, że jeśli człowiek nie zareagowałby szybko, toby nie przeżył. Dzisiaj nie ma już takich niebezpieczeństw, natomiast sama skłonność nam pozostała.

– *Jaki wpływ ma małżeństwo na nasze subiektywne poczucie szczęścia?*

– Przeprowadzono jakiś czas temu badania na kilkunastu tysiącach Niemców dotyczące zmiany satysfakcji życiowej pod wpływem małżeństwa i wdowieństwa. Okazuje się, że na początku mał-

żeństwa satysfakcja ta odrobinę wzrasta. Po roku jednak przyrost ten całkowicie zanika. Natomiast po owdowieniu satysfakcja z życia ogromnie spada – około dwudziestu razy – i już nigdy nie wraca do poprzedniego stanu. Krótko mówiąc – jeśli masz już partnera, to dbaj o niego przynajmniej na tyle, żeby ci nie umarł, bo w przeciwnym razie nie odzyskasz szczęścia (śmiech).

– *Chciałabym na koniec zadać panu profesorowi może trochę naiwne, ale za to bardzo ważne pytanie: Czy jest jakaś recepta na udany związek?*

– Najogólniejsza rada, jakiej mogę udzielić, to jest *ora et labora*. Pracuj nad swoim związkiem i módl się, żeby ci wyszło.

BOGDAN WOJCISZKE, prof. dr hab., ur. 1952, dziekan sopockiego Zamiejscowego Wydziału Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie, autor licznych badań z zakresu spostrzegania i oceniania ludzi, dynamiki bliskich związków uczuciowych, psychologii władzy, godności jako wartości etycznej współczesnego społeczeństwa polskiego. Autor licznych publikacji, między innymi książek: „Psychologia miłości”, „Procesy oceniania ludzi”, „Psychologia rozumienia zjawisk społecznych”, „Człowiek wśród ludzi”.

MARTA SZYMCZYK, ur.1984, absolwentka filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, redaktor „Przeglądu Powszechnego”.



Związki niesakramentalne: gorzko-słodkie duszpasterstwo

Z ojcem Wojciechem Nowakiem SJ, duszpasterzem osób rozwiedzionych, pozostających w separacji oraz żyjących w związkach niesakramentalnych, rozmawia Krzysztof Ołdakowski SJ.

– Małżeństwo w Kościele katolickim jest sakramentem, jest jedno i nierozrwalne. Czy współczesny człowiek może dzisiaj ślubować miłość, wierność i uczciwość małżeńską na całe życie? Wielu uważa, że to niemożliwe, zbyt trudne i wymagające.

– Jeśli odpowiadamy przecząco na pytanie, czy człowiek współczesny może zobowiązać się do miłości na całe życie, czy nie jest to zbyt wysoko zawieszona poprzeczka, należałoby stwierdzić, że Pan Bóg, twórca natury ludzkiej i jednocześnie twórca małżeństwa, uczynił nas istotami tragicznymi, gdyż zaszczerpił w nas olbrzymią potrzebę miłości, choć wiedział jednocześnie, że jest ona niemożliwa do zaspokojenia.

Jednak, rzeczywiście, zobowiązanie rozciągające się na całe życie staje się czymś coraz bardziej obcym mentalności współczesnego człowieka, w świecie, który zmienia się w szybkim tempie. Odwołajmy się chociażby do przykładu życia zawodowego: dzisiaj coraz rzadziej można zakładać, że będzie się pracowało w jed-

nej firmie aż do emerytury, czy nawet w jednym zawodzie. Obok kompetencji w danej dziedzinie ceni się elastyczność, zdolność przekwalifikowania się, a także daje się do zrozumienia, że nikt nie jest niezastąpiony. Małżeństwo natomiast oznacza wierność drugiej osobie przez całe życie w zmiennych kolejach losu. Na tę zmianę w mentalności zwrócił uwagę także Benedykt XVI. Jego zdaniem aksjomat, według którego człowiek zamierza czynić to, co leży w jego naturze, a więc zawrzeć jedno, wierne małżeństwo, został dziś zamieniony na inną regułę postępowania: „czynić to, co powszechnie robi wielu”, czyli pobierać się z myślą, że kiedyś małżeństwo może się rozpaść i że można będzie wstąpić w kolejny, drugi, trzeci czy nawet czwarty związek. I ten model „jak robią wszyscy” powoli staje się „normalnym”, akceptowalnym sposobem myślenia i postępowania. Pytanie zadane na początku można by sformułować także nieco inaczej: czy człowiek jest aż tak wielką wartością, że godzien jest miłości przez całe życie? Nie należy zapominać, że wierna miłość do końca, jakiej przykład dał Chrystus, od dwóch tysięcy lat wciąż pozostaje dla świata „promocją”. Dochodzimy tu do pytania o rozumienie i znaczenie sakramentu w relacji małżeńskiej.

– *No właśnie, czy do tego, by kochać żonę, męża, potrzebny jest sakrament?*

– Doświadczenie pokazuje, że często potykamy się na próbie realizowania miłości. Brakuje nam umiejętności, sił i wytrwałości. Dlatego też niezbędne jest czerpanie ze źródła. Święty Jan Apostoł o istocie Boga pisze krótko: *Bóg jest miłością* (1 J 4,16). Nie tylko kocha, ale jest Miłością. W stosunku do człowieka jest to miłość bezinteresowna, wytrwała i wierna, podkreślmy – wierna bez względu na wierność drugiej strony. Ta miłość przez duże „M” pozostaje wzorem i źródłem wszelkiej miłości. Otóż sakrament małżeństwa jest włączeniem się w nurt miłości samego Boga, by kochać współmałżonka miłością bosko-ludzką. Jeśli Bóg istnieje i jest miłością, to dla człowieka wierzącego chcieć realizować miłość w małżeństwie i nie chcieć sakramentu – to sprzeczność. Oczywiście, sakrament nie działa w sposób automatyczny i wy-

maga harmonijnego połączenia ludzkiego wysiłku z łaską nadprzyrodzoną. Stąd rozróżnienia między ważnością przyjęcia sakramentu a jego owocowaniem. Łaska ze strony Boga może być dana, ale człowiek może być na nią zamknięty, może ona pozostać niejako w stanie „zamrożonym”. Przyjęcie sakramentu małżeństwa nie może kończyć się zawieszeniem pamiątkowego zdjęcia na ścianie.

– Ale czy rzeczywiście ślub kościelny powinien być dla wszystkich legitymującym się „certyfikatem” chrztu w Kościele katolickim? Po co na przykład dopuszczać do sakramentu ludzi nie do końca rozumiejących jego znaczenie czy wręcz niewierzących? Niech przyjmują go tylko świadomi i dojrzały, a reszta niech żyje w związkach naturalnych.

– Zgadzam się z tym, że decyzja o ślubie sakramentalnym nie może być podejmowana zbyt pochopnie, niejako z rozpędu, ze względu na okoliczności rodzinne, tradycję, czy z samego faktu, że jest się osobą ochrzczoną. Powinna być pozytywnym wyborem. Chodzi o świadomość, co i dlaczego chcę przyjąć. Dla chrześcijanina miłość nie jest dodatkiem, ale wiąże się z istotą wiary. Chrystus zostawił uczniom tylko jedno przykazanie. Nazwał je „nowym” oraz „swoim” przykazaniem, by Jego uczniowie kochali tak jak On (J 13,34; 15,12). Ustanowił zatem wzór i miarę miłości, którą sam jako człowiek wypełnił, a siebie nazwał „Drogą” (J 14,6). Dla wielu dzisiaj miłość stała się pojęciem wieloznacznym, dla chrześcijanina jednak jest to pojęcie jednoznaczne. Kiedy mówi się przed ołtarzem *ślubuję ci miłość*, nie ślubuje się dowolnego pomysłu na małżeństwo ani dowolnego modelu miłości. Na mocy Chrystusowego przykazania chrześcijanin zobowiązuje się do bardzo konkretnego programu na życie. Innymi słowy, sakrament małżeństwa jest ponownym, ukonkretnionym wyborem życia chrześcijańskiego w ramach wyłączonej, dozgonnej i płodnej relacji mężczyzny i kobiety. W tym kontekście Ewangelia staje się swoistym podręcznikiem życia małżeńskiego: kochać współmałżonka tak, jak Chrystus ukochał człowieka – Kościół. Na tę paralelę wyraźnie wskazuje święty Paweł w „Liście do Efezjan” (5,25). Małżeństwo według niego to

realizowanie miłości Chrystusa we wzajemnej relacji mężczyzny i kobiety. Dlatego decyzja o sakramencie może być dla niektórych swego rodzaju testem wiary, a wiara to także zawierzenie swoich planów życiowych Bogu – pomimo, czy zwłaszcza ze względu na świadomość własnych ograniczeń i słabości, co wyraża się ostatnimi słowami przysięgi małżeńskiej: *Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący*.

Podczas przygotowania narzeczonych Kościół może jedynie pomóc zrozumieć sakrament oraz sprawdzić – i to w sposób ograniczony – czy jest to decyzja świadoma i wolna, nie dysponuje jednak miernikiem poziomu wiary, ani też nie może wymagać od kandydatów do małżeństwa opinii rzeczoznawcy, na przykład psychologa czy psychiatry, o dojrzałości osobowej i zdolności do wypełniania obowiązków małżeńskich. Pamiętajmy, że małżeństwo jest jednym z podstawowych praw osoby ludzkiej. Dlatego niezdolność do małżeństwa należy traktować jako coś wyjątkowego, a nie na odwrót. Także i w kanonicznym procesie o stwierdzenie nieważności małżeństwa taką niezdolność należy udowodnić, nie wystarczy samo subiektywne przekonanie: *byliśmy wtedy zbyt młodzi, niedojrzali*. Na ile owa domniemana niezdolność jest realną, psychologiczną niezdolnością, a na ile pewną kulturową inklinacją, ułatwiającą i do pewnego stopnia usprawiedliwiającą przerywanie związku – to problem wymagający zbadania w każdym pojedynczym przypadku.

– *Na ile ludzie wypowiadający słowa przysięgi małżeńskiej są świadomi wypowiadanych słów, skoro czasami po kilku miesiącach wycofują się z nich? Kiedy uczestniczę w różnych ceremoniach zaślubin i błogosławię związki małżeńskie i słyszę te słowa przysięgi, to ciarki przechodzą mi po plecach, a co dopiero czują ci ludzie?*

– Każda zakochana para jest przeświadczona, że to, co się im przydarzyło, jest czymś tak wyjątkowym i niepowtarzalnym, że nie dotyczą ich pewne zasady budowania trwałego związku. Małżeństwa nie nabywa się w stanie gotowym. To dynamiczny i ewolucyjny proces. Powiedziałbym, że my wszyscy po trosze je-

steśmy „niepoprawni”, myląc stan zakochania z głębszą miłością. Zakochanie to pierwszy, ważny etap w budowaniu więzi, niejako zaproszenie do relacji. Towarzyszy temu idealizacja, zarówno drugiej osoby, samego związku, jak i własnej zdolności kochania. Jednak ten etap pełen uroku, nazywany romantycznym, z czasem mija. Mija także natężenie uczuć, które temu towarzyszą. Ktoś powiedział: miłość zaczyna się wtedy, gdy kończy się zakochanie. Jest w tym sporo racji. W każdej angażującej relacji trzeba przejść drogę od fascynacji i oczarowania drugą osobą do kochania jej dla niej samej, z jej zaletami i ograniczeniami, z mocnymi i słabymi stronami jej osobowości, trzeba nauczyć się kochać realne „ty” drugiego człowieka. I niestety, coraz więcej osób ma problem z przekroczeniem tego progu. Sprzyja temu współczesna kultura masowa, w której akcentuje się spontaniczność, natychmiastowe zaspokajanie potrzeb i powszechne sięganie po środki jednorazowego użytku. Stałość i wierność, chociaż wciąż cenione, jawią się jako coś relatywnego. Są dobrem, wartością o tyle, o ile komuś wydaje się, że go na to stać.

Myślę, że brakuje dzisiaj świadomości tego, że nad miłością trzeba pracować. Erich Fromm nazwał miłość sztuką, a ta, jak każda ludzka zdolność, wymaga rozwoju i nieustannego doskonalenia. Miłości w znaczeniu sztuki budowania więzi można i warto się uczyć. W ośrodku w Falenicy, gdzie jestem odpowiedzialny za dział duchowości, zaproponowaliśmy w tym roku trzy rodzaje warsztatów dla par małżeńskich z różnym stażem wspólnego życia. Niestety, frekwencja jest dość słaba. Dopiero gdy związek przeżywa poważny kryzys, gdy jeden ze współmałżonków oświadcza, że chce odejść, wtedy zaczyna się rozpaczliwe szukanie pomocy. Jednak by uzdrowić relację, niezbędne jest zaangażowanie dwojga.

– *Co według ojca jest najczęstszą przyczyną rozpadu więzi małżeńskiej? Jak to możliwe, że w krótkim czasie po ślubie ludzie bliscy sobie, najbliżsi na świecie, przechodzą od wielkiej miłości do wielkiej nienawiści?*

– Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że są dwie zasadnicze grupy przyczyn: natury psychologicznej i duchowej.

Gdy chodzi o tę pierwszą grupę, należy rozróżnić faktyczną niezdolność do małżeństwa – która jest między innymi przyczyną orzekania nieważności małżeństw przez sądy kościelne – i błędy czy nieumiejętność zbudowania więzi, co przechodzi w narastający i przedłużający się kryzys. Zaznaczmy, że małżeństwo trudne czy przeżywające kryzys nie oznacza małżeństwa nieważnego. Do rozpadu związku mogą doprowadzić różne formy niedojrzałości osobowej, nieumiejętność komunikowania swoich uczuć i potrzeb, nadmierne oczekiwania, brak poszanowania granic i autonomii osób, odmienne wzorce wspólnego życia, które małżonkowie wnoszą do związku, nieumiejętność wypracowania własnej, niepowtarzalnej drogi, niecałkowite wejście w rolę męża czy żony albo stanie się bardziej rodzicem niż współmałżonkiem, a także różnego rodzaju uzależniania – również od osób. Powtórzę: duże znaczenie ma tu zbyt duża idealizacja i akcentowanie strony emocjonalnej w pierwszej fazie związku, co później można odczuć jako zawód, bo osoba czy związek nie jest tym, o czym się pierwotnie myślało. Wpływ na mentalność rozwodową ma także fakt, że przybywa osób, których rodzice się rozeszli i przez to pojęcie wierności jest im obce.

W procesie budowania więzi nieuniknione jest przeżycie swojego rozczarowania drugą osobą, przejście od kochania jej wyidealizowanego obrazu do przyjęcia jej takiej, jaką jest ona naprawdę. „Dobra nowina” o miłości polega na tym, że w znanej nam już osobie można się zakochać wielokrotnie, można odkrywać ją wciąż na nowo, o ile tylko otworzymy się na ten proces. Praca nad relacją nigdy się nie kończy i nie istnieje coś takiego jak małżeńska emerytura. Od strony duchowej natomiast do rozpadu związku może przyczynić się brak świata wartości, czegoś w rodzaju kompasu dla miłości, by znaleźć właściwe motywacje i wzorce postaw dla jej przeżywania. Kontemplowanie Jezusa Chrystusa jako Nauczyciela życia, nasiłkanie jego mądrością, uzdrawianie własnej zdolności kochania w sakramentach, gotowość do przebaczenia, uczenie się bezinteresowności, odzyskiwanie nadziei w momentach trudnych – to jest realna siła, a nie, jak uważają niektórzy, jedynie religijno-sentymentalna przybudówka.

– *Czy wiemy, ile małżeństw zawieranych w Kościele katolickim rozpada się i w jakim czasie po zawarciu ślubu?*

– Nie spotkałem się z tego typu badaniami na gruncie kościelnym. Gdy chodzi o związki cywilne w Polsce, w 2000 roku jeden na pięć kończył się rozwodem, dziś rozstaje się już co trzecia para. Szacuje się – mam tu na myśli dokument Rady Konferencji Episkopatu Polski „Niewierzący w parafii – sugestie duszpasterskie” z 1999 roku – że w większych miastach rozwodzi się nawet do 40 procent par. Można przypuszczać że większość z nich przyjęła sakrament małżeństwa. Warto tutaj wspomnieć, że separacja, czyli przerwanie wspólnoty życia, w niektórych sytuacjach jest przez Kościół dopuszczalna i usprawiedliwiona. Bardzo niepokojącym zjawiskiem jest także krótki staż małżeński rozwodzących się par. W mojej praktyce duszpasterskiej spotykam coraz częściej osoby, których małżeństwa rozpadły się od dwóch do pięciu lat po ślubie.

– *Czy Kościół katolicki kocha rozwodników? I jaką ma dla nich propozycję, żeby zatrzymać ich w Kościele?*

– Stałą miłością Kościoła pozostaje Pan Bóg i człowiek. Staram się unikać sądów generalizujących. Myślę, że najbardziej reprezentatywny jest tutaj głos kierujących Kościołem i nadających kierunek jego działaniu, mimo że w życiu codziennym wierni mogą spotkać się z różnymi postawami. Chrystus nie przyszedł do idealnego świata i – jak to wyraził Jan Paweł II w swojej programowej encyklice „Redemptor hominis” – człowiek zawsze pozostaje „drogą Kościoła”, człowiek nie abstrakcyjny, wyidealizowany, ale człowiek – *dziecko swoich czasów*. W 1980 roku w Rzymie odbył się synod biskupów – zgromadzenie reprezentujące episkopat światowy – który podjął refleksję na temat sytuacji rodziny chrześcijańskiej we współczesnym świecie. Problem rozwiedzionych cywilnie katolików, żyjących w kolejnych związkach, biskupi określili jako „nagłący”, a same rozwody „plagą”, która dotyka także środowiska katolickie. Rok później w adhortacji apostolskiej „Familiaris consortio” Jan Paweł II, w podsumowaniu obrady synodu, zwrócił się z apelem – co warto podkreślić – nie tylko do

duszpasterzy, ale do całej wspólnoty wiernych, aby okazała pomoc rozwiedzionym, żyjącym w ponownych związkach. Wezwał do *podejmowania z troskliwą miłością starań o to, by nie czuli się oni odłączeni od Kościoła*, który winien modlić się za nich, zachęcać do życia chrześcijańskiego oraz podtrzymywać w wierze i nadziei, okazując się w ten sposób *miłosierną matką*. Przyznam, że ilekroć sięgam po ten tekst, ujmuje mnie język, jakim jest on napisany. Słowa użyte przez papieża dalekie są od potępiania i piętnowania kogokolwiek. Mimo że Jan Paweł II nie pomija w tekście trudnej i bolesnej prawdy o sytuacji, w jakiej znalazły się te osoby, to jednocześnie wyraża wiarę, że mogą one wyjednać sobie u Boga łaskę nawrócenia i zbawienia.

Podobnie Benedykt XVI na spotkaniu z księżmi – podczas swojego wakacyjnego pobytu w Dolinie Aosty w lipcu 2007 roku – trwanie w nowym związku, uniemożliwiającym między innymi przyjmowanie sakramentów, nazwał *cierpieniem*, z którym należy *uczyć się żyć*. Powiedział, że wszyscy cierpimy z tego powodu, gdyż wszyscy mamy wokół siebie ludzi przeżywających takie sytuacje. Stwierdził, że na ten problem nie ma *prostej recepty*. Wyraził jednocześnie nadzieję, że różne formy towarzyszenia tym osobom mogą pomóc im odczuć, że są przez Chrystusa kochane i że nadal są członkami Kościoła. W słowach obecnego papieża również zauważa się zatroskanie, z jakim traktuje on osoby ze związków niesakramentalnych. Te dwa przykłady wypowiedzi papieskich można potraktować jako najbardziej wiarygodny głos Kościoła w tej sprawie.

Myślę, że ze względu na skalę problemu wytykanie z ambony czy pomijanie podczas wizyty duszpasterskiej mieszkań „niesakramentalnych” – jak ich niekiedy skrótowo się nazywa – należy już do rzadkości. Postawę, z jaką mogą się niekiedy spotkać, określiłbym raczej jako „życzliwą bezradność”. Z jednej strony zachęca się ich do praktykowania wiary, z drugiej zaś nie bardzo potrafi się odpowiedzieć na ich pytania i nie wychodzi się z konkretną propozycją duszpasterską skierowaną wprost do nich. Być może towarzyszy temu obawa, że tego typu duszpasterstwo podważyłoby naukę o nierozzerwalności małżeństwa lub stałoby się swojego

rodzaju kościelnym azylem dla tych, którzy rozbili rodziny. Stąd osoby żyjące w związkach niesakramentalnych mogą mieć wrażenie, że są pozostawione same sobie lub wręcz, że znajdują się poza Kościołem. Jeżeli jednak Kościół chce pozostać wierny postawie swojego Mistrza – Dobrego Pasterza, musi być gotowy pozostawić niekiedy 99 owiec i wyruszyć na poszukiwanie tej jednej, która się zagubiła, a z przytoczonych danych wynika, że tych „owiec” jest nieco więcej.

– Czy osoby rozwiedzione, które weszły w kolejne związki, żyją w grzechu i co Kościół ma im do powiedzenia, jeśli chodzi o ich sytuację przed Bogiem? Jak ich sytuuje wobec wieczności? Wiele lat temu, na początku istnienia Redakcji Programów Katolickich w Telewizji Polskiej, nagrywano program o tych związkach i wówczas jeden ksiądz powiedział, że są skazani na wieczne potępienie.

– Wyłączano, jak słyszałem, telewizory...

– Było wtedy bardzo duże poruszenie. Podcięto w tych ludziach nadzieję. Podważono w ogóle poczucie sensu dalszego życia.

– Na szczęście zbawianie jest domeną Boga, a Kościół nie jest ustanowiony do zamykania nieba komukolwiek.

Stan życia osób rozwiedzionych żyjących w kolejnych, niesakramentalnych związkach stoi w sprzeczności z wymogami Ewangelii. Stwierdzenie Chrystusa *kto oddał swoją żonę, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo i kto oddaloną bierze za żonę dopuszcza się cudzołóstwa* znajdujemy we wszystkich trzech Ewangeliach synoptycznych (Mt 5,32; 19,9; Mk 10,11; Łk 16,18). Święty Marek przytacza jeszcze inne zdanie: *I jeśli żona opuści swego męża, a wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo* (Mk 10,12). Te słowa pozostaną niezmiennie, chociaż niektórzy budzą fałszywą nadzieję i twierdzą, że są one zbyt dosłownie interpretowane, a Kościół w przyszłości zmieni stanowisko w tym względzie. Czy wobec tego „niesakramentalni” są pozbawieni nadziei na zbawienie? Jan Paweł II w „*Familiaris consortio*”, oprócz zapewnienia, że osoby te należą do Kościoła, chociaż *oddaliły się*

od przykazania pańskiego, wyraził wiarę, że mogą one otrzymać od Boga łaskę nawrócenia i zbawienia. Co więcej, dla miłości prawdy – takiego właśnie sformułowania użył – zobowiązuje duszpasterzy do właściwego rozeznania sytuacji i rozróżnienia między tymi, którzy rozbili małżeństwa z własnej winy, a tymi, którzy zostali niesprawiedliwie porzuceni i związali się z kimś na przykład ze względu na wychowanie dzieci. To papieskie zobowiązanie duszpasterzy do traktowania indywidualnie każdej tego typu sytuacji jest o tyle znamienne, że w obu przytoczonych przypadkach związek pozostaje niesakramentalnym ze wszystkimi tego konsekwencjami. Niemniej jednak Ojciec Święty nie traktuje wszystkich sytuacji jednakowo i bardzo ostrożnie podchodzi do problemu, starając się zrozumieć ludzkie motywy. Również w Ewangelii Jezus, spotkawszy Samarytanę – kobietę, która miała pięciu mężów i pozostawała w związku nieformalnym z mężczyzną – nie rozpoczyna z nią rozmowy od robienia jej rachunku sumienia, ale odwołuje się do tęsknot jej serca i rozbudza w niej pragnienie życia wiecznego (J 4,1-42). Myślę, że jest to ewangeliczny drogowskaz dla tego duszpasterstwa: pomoc w rozbudzaniu wiary, która sama doprowadzi zainteresowanych do właściwych rozwiązań.

– *Jakie konkretne propozycje duszpasterskie ma Kościół w Polsce dla osób żyjących w kolejnych, niesakramentalnych związkach i jak liczne jest to duszpasterstwo?*

– Tego typu duszpasterstw jest w Polsce zaledwie kilkanaście. Każdy z zaangażowanych w nie księży stara się tak, jak potrafi przełożyć słowa z „Familiaris consortio” na praktyczne działania. W niektórych miejscach zaczęło się od zorganizowania specjalnych rekolekcji, w innych od zaproszenia na spotkanie inicjujące grupę. Każde z duszpasterstw ma swoją historię, swoje formy działania i niepowtarzalny klimat. Myślę, że podstawową kwestią jest otwarcie się na te osoby i odwaga, by wyjść im naprzeciw z inicjatywą. Jan Paweł II zadanie Kościoła względem takich osób określił jako *dodawanie im odwagi* w praktykowaniu wiary. Uważam, że tej odwagi potrzebują także duszpasterze. Po jednym z dyżurów w kan-

celarii parafialnej nieżyjący już ojciec Mirosław Paciuszkiewicz SJ, inicjator duszpasterstwa związków niesakramentalnych przy sanktuarium świętego Andrzeja Boboli na warszawskim Mokotowie, napisał w swoim pamiętniku, że wrześniowego popołudnia 1987 roku *podjął rękawicę rzuconą mu przez parę niesakramentalną*¹, po czym ogłosił z ambony wyjazdowy dzień skupienia dla ludzi w podobnym położeniu. Grupa, która zawiązała się w wyniku tamtego wyjazdu do Podkowy Leśnej, spotyka się nieprzerwanie do dzisiaj. Chodzi właśnie o takie podejmowanie *rzuconej rękawicy*. Dla duszpasterza może stać się to nową przygodą wiary, odkryciem *nieznanych dotąd kart Ewangelii*. W mojej ocenie skończył się już w Kościele – w Polsce proces ten może dokonuje się nieco wolniej – okres „zauważania problemu”, a rozpoczyna się czas „wyobraźni duszpasterskiej”. Nie wystarcza już szeroko rozumiana „prewencja” w ramach duszpasterstwa małżeństw. Miejsce dla grupy wsparcia w wierze dla osób żyjących w związkach niesakramentalnych jest w każdej parafii. I należy też powiedzieć tu otwarcie, że nie jest to duszpasterstwo masowe. Obejmuje ono mały procent tych, których dotyczy ten problem. Chodzi bardziej o tworzenie czegoś w rodzaju „instytucji nikodemowych rozmów”, by osoby będące w takiej sytuacji miały gdzie się udać, porozmawiać o swoich problemach dotyczących wiary, by nie zwątpiły w nadzieję zbawienia.

Już samo istnienie takich grup w świadomości wiernych ma duże znaczenie dla tworzenia obrazu Kościoła, którego nie należy utożsamiać z „elitarnym klubem ludzi doskonałych”. Duszpasterstwo „niesakramentalnych”, jak powiedział Benedykt XVI, nie oferuje gotowych recept, raczej stwarza przestrzeń poszukiwania rozwiązań, jednak w ramach Kościoła, a nie poza nim. Osoby zgłaszające się mogą wręcz poczuć się w pierwszym momencie lekko rozzarowane, gdyż nie otrzymują tego, czego może się spodziewały – ich sytuacja nie zostaje automatycznie uzdrowiona. Niemniej jednak nieodrzućcie i możliwość rozwijania wiary, która nadal tli się w ich sercach, stanowią dla nich magnes. To

¹ M. Paciuszkiewicz SJ, *Drogi powrotu*, Ząbki 1999, s. 17.

takie gorzko-słodkie duszpasterstwo owocujące stopniowo za-
ważalną słodyczą u tych, którzy decydują się w nim pozostać.
Ewangelia jest Dobrą Nowiną dla wszystkich, bez względu na to,
w jakim kontekście zaczynają ją słyszeć.

* * *

Więcej informacji o duszpasterstwie osób żyjących w zwią-
kach niesakramentalnych oraz adresy duszpasterstw można zna-
leźć na stronie internetowej www.niesakramentalni.net.

WOJCIECH NOWAK SJ, ur. 1963, duszpasterz osób rozwiedzionych, pozosta-
jących w separacji oraz żyjących w związkach niesakramentalnych przy
parafii św. Andrzeja Boboli w Warszawie, odpowiedzialny za dział duchow-
wości i rekolekcje w Europejskim Centrum Komunikacji i Kultury w War-
szawie-Falenicy (www.eccc.pl), wykładowca na Papieskim Wydziale Teolo-
gicznym Collegium Bobolanum w Warszawie.

KRZYSZTOF OŁDAKOWSKI SJ, redaktor naczelny „Przeglądu Powszechnego”.



Maria i Lucjan Polakowie

My, niesakramentalni

Kiedy jest „normalnie”, chodzimy co niedziela na mszę świętą, kilka razy w roku do spowiedzi, komunie świętą przyjmujemy bezpośrednio po spowiedzi i jeszcze kilka razy – póki świadomość własnej grzeszności nie każe nam zostać w ławkach. Słyszemy czasem o ruchu oazowym, Domowym Kościele, duszpasterstwach działających przy naszych parafiach. Ale nie mamy czasu (potrzeby, ochoty), by pogłębiać życie religijne. Starcza nam nasza „średnia katolickość”. Coś dodatkowego Kościół proponuje – myślimy – ludziom dysponującym nadmiarem czasu, emerytom, samotnym.

Los, a może dobry Bóg, sprawił, że dla nas już nie jest „normalnie”. Poznanie oferty Kościoła odsuwaliśmy na dalekie „kiedys”, teraz pragniemy tego jak wody na pustyni.

Maria

Wychowywałam się w rodzinie pięcioosobowej: rodzice, siostra, brat i ja. Czasy były trudne, i być wierzącym oznaczało też być odważnym. Ciągłe wywieranie na tatę presji, by wstąpił do partii, i uzależnienie od tej decyzji utrzymania go na stanowisku jeszcze umocniły światopogląd i otwarte demonstrowanie przynależności do Kościoła katolickiego. W okresie mojego dzieciństwa i młodości w domu rodzinnym zawsze celebrowany był udział w mszach świętych niedzielnych, świątecznych, nabożeństwach (rózaniec, droga krzyżowa, roraty, gorzkie żale, majowe), spowiedź i komunie

święta kilkakrotnie w roku, modlitwa poranna i wieczorna i tak dalej. Uczestniczenie w lekcjach religii w Kościele aż do matury wynikało z mojego świadomego wyboru. Czy te praktyki przekładały się na pogłębienie wiary w naszej rodzinie i życie w miłości? Przykro mi to teraz stwierdzić, ale nie. Było poprawnie, choć między rodzicami często „wybuchowo”. Pamiętam mój i rodzeństwa strach w tych chwilach, a czasem marzenie, by rodzice się rozeszli. Jednak dotrwali razem do czterdziestej dziewiątej rocznicy zawarcia związku małżeńskiego.

Moje małżeństwo sakramentalne było bardzo podobne do małżeństwa moich rodziców. Zawierane z nadzieją, że ledwo tłące się uczucie rozpali się, że sprawią to dzieci pojawiające się na świecie. Razem z nimi uczestniczyliśmy we mszy świętej w każdą niedzielę. Wprowadzałam dzieci do codziennej modlitwy (czasami nawet wspólnie z ich tatą). Kilka razy w roku spowiedź i komunია święta dawały spokój i ulgę. Można powiedzieć, że moja rodzina była obrazem mojego domu rodzinnego. Nauka Kościoła o miłości nie miała przełożenia na nasze życie małżeńskie, brakowało w nim miłości, szacunku, zaufania i wzajemnego wspierania się na dobre i na złe. Mimo świadomości nierozzerwalności sakramentalnej małżeństwo przetrwało tylko dwadzieścia lat. Decyzja o rozstaniu z mężem była najtrudniejszą decyzją w moim życiu. Najpierw pojawiła się potrzeba i konieczność uwolnienia się z toksycznego (przynajmniej dla mnie i dla dorastających dzieci) związku, dopiero potem zrodziły się myśli o przyszłości, a w ostatniej kolejności pytanie, jak zmieni się moje miejsce w Kościele.

Z tą decyzją nie zgadzało się moje rodzeństwo. Także mama, argumentująca, że ona „wytrzymała” z ojcem tyle lat. Chociaż znali moją niedobłą sytuację małżeńską, nie udzielili mi wsparcia, wręcz przeciwnie – wykluczili z życia rodzinnego!

Rozwód był doświadczeniem bardzo przykrym i traumatycznym. Wspierał mnie nieodmiennie Lucjan, wdowiec samotnie wychowujący dwie dorastające córki, który mnie i moim dzieciom dał schronienie po wyprowadzeniu się z wygodnego mieszkania. Po dwóch latach postanowiliśmy zawrzeć związek małżeński. To druga niezwykle trudna decyzja w moim życiu. Byłam świadoma

konsekwencji tego kroku co do naszego miejsca w Kościele. Wiedziałam, że pozbywam się możliwości przystępowania do sakramentu pokuty i komunii świętej. Ale przecież nikt nie zabroni mi uczestniczenia we mszy świętej.

Dotykały mnie lekceważące słowa księży o tych, co to żyją na „kartę rowerową”. Jednak nie tylko nie zniechęciło mnie to do uczestniczenia w życiu Kościoła, a wręcz mobilizowało do poszukiwania dodatkowych form umacniania w wierze, które upewniały mnie i mojego niesakramentalnego męża, że nie jesteśmy „straceni”.

Myślenie o naszym miejscu w Kościele zmieniło się w myślenie o relacji z Bogiem. Coraz więcej myślałam o Bogu, a mniej o przestrzeni, jaką jest świątynia. Nie chciałam i nie musiałam chować się za filarem, zajmować miejsca w ostatnim rzędzie ławek. Nie było dla mnie istotne, jak oceniają mnie inni wierni, gdy kolejny raz nie przystępuję do komunii świętej.

Jednak przygnębiała mnie świadomość, że nie ma dla mnie miejsca przy konfesjonale, że już nie zaznam tego cudownego uczucia ulgi i spokoju, gdy kapłan powie: odpuszczam ci grzechy. Z tego też powodu często miałam w oczach łzy żalu podczas komunii świętej – już nie dla mnie. W naszej zrekonstruowanej rodzinie pojawiały się różne uroczystości, na przykład pogrzeby rodziców, śluby dzieci, a my nie mogliśmy im ofiarować komunii. Mimo radości z budowania nowego związku i nowej rodziny – opartej na głębokim uczuciu miłości, szacunku i zrozumieniu – ciągle doskwierała mi świadomość grzechu, w jakim żyję. I pojawiało się pytanie: czy warto było za spokój tu na ziemi zapłacić takim niepokojem w życiu duchowym?

Lucjan

Dorastałem w domu, w którym tylko mamie zależało na religijnym wychowaniu trójki dzieci. Pilnowała, byśmy nie opuszczali mszy świętej w niedzielę, uczęszczali na naukę religii przy parafii. Święta kościelne spędzaliśmy w skromnej oprawie religijnej, w Wigilię było to tylko łamanie się opłatkiem i życzenia, w Wielkanoc – wspólne śniadanie po rezurekcji. Chodziliśmy z mamą na pro-

cesje Bożego Ciała, ale była to dla mnie bardziej demonstracja przeciw władzy narzucającej ateizację życia narodu niż religijna potrzeba. W dzieciństwie udało mi się zebrać kilka kompletów „pierwszych piątek”, co w mojej naiwności dawało mi spokój w rozmyślaniach na temat spraw ostatecznych.

Taki model katolicyzmu wniosłem do mojego małżeństwa. Choć dzieciom czytałem też i objaśniałem Biblię dla dzieci, rozmawialiśmy nieco więcej – niż moi rodzice ze mną – o Bogu.

Kiedy moja żona ciężko zachorowała, miałem do Boga żal, że akurat nas to spotyka. W modlitwach prosiłem o oszczędzenie jej cierpień, a nam wszystkim ciężkich doświadczeń. Nie wiem, jak ułożyłyby się moje relacje z Bogiem, gdyby nie siła wiary i pogodzenie się żony z wolą Bożą. Jestem przekonany, że dzięki niej zacząłem naprawdę czuć obecność Boga w życiu. Po śmierci żony podjąłem trud samotnego wychowywania dwóch córek.

Przez wiele lat nie wyobrażałem sobie, żeby inna kobieta mogła zastąpić córkom matkę, a mnie żonę. Czuliśmy, a może chcieliśmy wierzyć w to, że Marta opiekuje się nami „stamtąd”. Wielokrotnie ofiarowaliśmy za nią komunię świętą, msze i odpusty, choć byliśmy przekonani, że już przebywa pośród świętych.

Marię poznałem poprzez kontakty naszych dzieci. Bliższa znajomość umacniana przez wspólne inicjatywy towarzysko-rekreacyjne pozwoliła mi poznać jej szlachetny charakter, miłość do dzieci i... beznadzieję jej związku małżeńskiego. Obserwując daleko posunięty rozpad małżeństwa Marii – przy ogromnym wysiłku z jej strony, by utrzymać choćby pozory istnienia więzi rodzinnych („bo dzieci muszą mieć ojca”) – nabierałem jeszcze większego szacunku dla tej kobiety. Jednocześnie rodził się we mnie bunt przeciwko niesprawiedliwości każącej trwać w związku sakramentalnym – mimo wszystko! Jakże to – myślałem – przysięgę małżeńską „ślubuję Ci miłość” można łamać od samego początku, a druga strona musi dotrzymać słowa, „że Cię nie opuszczę aż do śmierci”?!

Niezrozumiałe było dla mnie – troskliwego, kochającego, choć i surowego ojca – odrzucanie i poniżanie własnych dzieci przez męża Marii!

Doszedłem do przekonania, że nie bez powodu los skrzyżował drogi naszych rodzin. Przekonywałem Marię, że ona i dzieci mają prawo do godnego, spokojnego życia, do miłości i radości. Moja deklaracja gotowości wsparcia Marii na wszystkich etapach odzyskiwania sensu i radości życia rodzinnego stała się iskrą zapalną, która doprowadziła do odejścia Marii z dziećmi od męża.

Rzecz dotychczas dla mnie niewyobrażalna – powtórny ożenek, do tego z rozwódką, stał się wkrótce faktem. Miałem świadomość jego konsekwencji dla mojego uczestnictwa w życiu Kościoła, ale początkowo było to mało ważne wobec wagi nowych zadań, obowiązków i radości bycia blisko z kochanymi ludźmi.

Rozwód – to „zło konieczne” – zawsze jest traumatycznym przeżyciem, nawet jeśli jego efektem staje się spokojne, godne życie. O tym, jak ważne w tych chwilach jest wsparcie bliskich oraz dlaczego wiele kobiet nie decyduje się na ten ostateczny krok i pozostaje w toksycznych związkach, przekonaliśmy się zaraz po odejściu Marii od męża.

Jej rodzina, w której miała opinię dobrej, uczynnej, rozważnej, pełnej poświęcenia, odmówiła Marii prawa do zmiany losu! Rodzeństwo i matka stanowczo żądali powrotu do męża, o którym przecież mieli nie najlepsze zdanie! Zasypywali pretensjami Marię i jej dzieci – „bo nic wcześniej nie mówiłaś...”, „przecież cię nie bił...”, „czy ojciec był dla was taki zły?”.

Zostaliśmy wyrzuceni na aut życia rodzinnego przy jednoczesnym demonstracyjnym wspieraniu sakramentalnego małżonka Marii. Bolesnym doświadczeniem stało się szermowanie przez rodzinę argumentami religijnymi („nie możemy tego zaakceptować, przecież łączy was sakrament!”) przy jednoczesnych zachowaniach, w których przejawiała się agresja, potępienie człowieka – a nie czynu – i wręcz nienawiść. Jednak nie odeszliśmy od Kościoła, przeciwnie – to w nim szukaliśmy siły i pocieszenia.

Gdy inni szli do komunii świętej, także ci, którzy okazywali nam wrogość, mocno doskwierał mi żal. Odpowiedzią na ten żal stało się odmawianie w czasie komunii dziesiątka różańca w intencjach zgody w rodzinach, pokoju, miłości. W ciągu kilkunastu

lat urosło to do sporej liczby odmówionych różańców, wielokrotnie przewyższającej liczbę z wcześniejszych okresów życia.

* * *

Od początku wspólnego życia często rozmawialiśmy o sprawach wiary, dzieliliśmy się przeżyciami i myślami. Zaglądaliśmy do literatury omawiającej problemy małżeństw niesakramentalnych. Szukaliśmy informacji w kościołach o pomocy dla takich jak my. Niestety, trudno było znaleźć parafię, która zajmowałaby się tą coraz liczniejszą w naszym społeczeństwie grupą osób rozwiedzionych i powtórnie rejestrujących nowy, już niesakramentalny związek. Przypadkiem trafiliśmy na rekolekcje dla małżeństw. W programie jedno spotkanie było poświęcone małżeństwom niesakramentalnym. Prowadził je ksiądz Mirosław Paciuszkiewicz SJ, prekursor, wieloletni duszpasterz małżeństw niesakramentalnych w Warszawie. Zachęteni przez rekolekcjonistę odbyliśmy z nim długą rozmowę prywatną. Nie obyło się bez łez rozpacz i wzruszenia. Rozmowa ta była jak oczyszczająca spowiedź.

Jakże ucieszyliśmy się, gdy niedługo potem, wiosną 2002 roku, ojcowie jezuici zorganizowali rekolekcje dla małżeństw i osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Na zakończenie wzięliśmy udział w spotkaniu dla par chcących utworzenia grupy wsparcia. Na kolejnym spotkaniu – inaugurującym działalność pierwszego w diecezji gnieźnieńskiej duszpasterstwa małżeństw niesakramentalnych – zjawili się pięć par. Formułę funkcjonowania wypracowywaliśmy na bieżąco razem z ojcem Mietkiem, dla którego też wszystko było nowe.

Postanowiliśmy spotykać się raz w miesiącu, w celu poszerzania wiedzy religijnej, wymiany doświadczeń i pogłębiania wiary. Po jakimś czasie ojciec Mietek dodał drugie spotkanie – jedną w miesiącu niedzielną mszę świętą dla takich jak my. W trakcie tych mszy ogromnym przeżyciem jest indywidualne błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Podczas spotkań grupy w początkowym okresie wiele czasu zajęło nam „wykrzyczenie” i wypłkanie bólu, żalu, gromadzonych latami, czasem i *buntu przeciw jawnej niesprawiedliwości*,

jaka nas w życiu dotknęła i nadal dotyka. Stało się zresztą regułą, że przez takie oczyszczenie przechodziły wszystkie pary dołączające do nas.

Każdy przychodził na spotkania grupy z bagażem doświadczeń i oczekiwaniami wobec duszpasterstwa. Niektórym wystarczało zapewnienie powtarzane przez ojca Mietka, że Bóg nas kocha i nikogo nie chce utracić. Dla niektórych za mało było duchowości w życiu naszej wspólnoty. Byli i tacy, którzy liczyli na jakieś przywileje bądź ulgowe potraktowanie w sprawie sakramentów. Niektórzy załatwiali doraźne potrzeby (dzieci przystępują do Pierwszej Komunii...). Nic dziwnego, że po dwóch, trzech latach z grona założycieli grupy pozostała tylko jedna para, a cały skład do dzisiaj wymienił się trzykrotnie. Mimo znacznego wzrostu liczby rozwodów i powtórnie zawieranych małżeństw w ciągu dziesięciu lat nie zwiększyła się liczba osób zainteresowanych duszpasterstwem.

Dla nas każde spotkanie jest wyczekiwaniem „ładowaniem akumulatorów” przed walką z trudami codzienności. Znacznie wzrosła nasza świadomość religijna. Jezus stał się jednym z nas. Z potrzeby serca, z rozbudzonych apetytów na „więcej” i „dalej” wyłoniły się dodatkowe formy aktywności grupy – dni skupienia w ośrodku rekolekcyjnym, wspólne wyjazdy religijno-rekreacyjne (do słowackiego Raju, Łagiewnik, Kalwarii Zebrzydowskiej, nad morze). Głębokim przeżyciem są coroczne rekolekcje wielkopostne dla małżeństw niesakramentalnych diecezji bydgoskiej, organizowane z naszym zaangażowaniem w pierwsze dni Wielkiego Tygodnia. Wyjątkową tradycją stała się droga krzyżowa odprawiana w ciemnym kościele w późnych godzinach Wielkiego Piątku.

Każde spotkanie z ojcem Mietkiem i resztą grupy pogłębia naszą świadomość religijną, wzmacnia naszą wiarę, zwiększa ufność w Boże Miłosierdzie. Każdego dnia stajemy się bardziej zdolni być świadkami Jezusa.

Z naszej perspektywy z upływem czasu widać wyraźniej, jak wiele musi się zmienić w mentalności wiernych i – przede wszystkim – w stosunku kapłanów do problemu powtórnych małżeństw. Wielokrotnie słyszeliśmy sygnały, że rozsyłane przez nas zapro-

szenia do udziału w rekolekcjach ginęły w szufladach proboszczów. Wprawdzie w niektórych gazetkach parafialnych udaje się czasem umieścić artykuły o małżeństwach niesakramentalnych, ale częściej spotykamy się z ignorowaniem prośby, by w ogłoszeniach parafialnych podać informację o comiesięcznej mszy albo spotkaniach naszej grupy. Nawet w mateczniku naszego duszpaństwa po zmianie na stanowisku superiora zaniknął zwyczaj błogosławienia niesakramentalnych Najświętszym Sakramentem podczas komunii w czasie niedzielnych mszy świętych.

MARIA I LUCJAN POLAKOWIE, żyją w związku niesakramentalnym od 12 lat.



Ks. Andrzej Cieślik

Msza także dla osób po rozwodzie

*Jak głosić Ewangelię osobom żyjącym w powtórnych, niesakramentalnych związkach?*¹

Osoby, którym rozpadło się sakramentalne małżeństwo, znoszą samotność z najwyższym trudem. Myślę nawet, że mnie jako księdzu łatwiej poradzić sobie z samotnością niż im. Po pierwsze dlatego, że moja samotność została świadomie wybrana, a ich często nikt nie pytał, czy chcą być sami. Po drugie dlatego, że łatwiej jest trwać w celibacie komuś, kto nigdy nie miał doświadczenia życia małżeńskiego, niż komuś, kto z małżeństwa został – często w gwałtowny sposób – wyrwany. Opuszczone matki z małymi dziećmi często uważają, że lepszym rozwiązaniem dla ich dzieci będzie ponowny związek z kimś, kto zastąpi im ojca, niż wychowanie ich samodzielnie. Są też oczywiście i takie przypadki, że ktoś świadomie odszedł od swej rodziny, by związać się z inną osobą. Oczywiście jest, że nie wszyscy znajdujący się w takiej sytuacji odczuwają potrzebę więzi z Bogiem. Jednakże wielu z tych, którzy zawarli powtórne, oczywiście niesakramentalne, związki, poszukuje kontaktu nie tylko z Bogiem, lecz także z Kościołem. Duszpaster-

¹ Zagadnienia te szerzej zostały omówione w książce ks. Cieślika *Jestem po rozwodzie i co dalej*, Kraków 2010.

stwo małżeństw niesakramentalnych² w Polsce ma już swoją dość długą tradycję zarówno w praktyce duszpasterskiej, jak i w literaturze. Sam również pisałem kiedyś na ten temat³. Zastanawiam się nawet, nie tylko zresztą ja, dlaczego jest tak, że osobom żyjącym w związkach niesakramentalnych poświęca się w duszpasterstwie więcej uwagi niż tym, którzy po rozpadzie małżeństwa postanowili prowadzić samotne życie. Nasuwa mi się jedna odpowiedź, mianowicie ta, że osoby samotne mają zwykle otwarte wszystkie drogi do pełni życia sakramentalnego w Kościele, natomiast zwykle nie mają tego małżonkowie niesakramentalni, przynajmniej na początku. Przez to są również często bardziej poranieni i mają pretensje do Kościoła i dlatego Kościół stara się poświęcić im więcej uwagi. Sam zaczynałem od posługi małżeństwom niesakramentalnym, by po latach dojść do wniosku, że być może jeszcze więcej uwagi i wsparcia potrzebują ci, których należałoby utwierdzić w przekonaniu, że trwanie w samotności i gotowość ponownego przyjęcia współmałżonka mają głęboki sens. Jednak ten artykuł chcę poświęcić osobom, które, z różnych przyczyn, zdecydowały się na życie w powtórnym, niesakramentalnym małżeństwie. Wierzę gorąco, że Bóg ma również plan doprowadzenia ich do pełni zbawienia, a moim zadaniem jako duszpasterza jest im ten plan ukazać.

Uczestnictwo w mszy świętej

Podobnie myślał chyba przed laty Jan Paweł II, gdy we wspominanej już adhortacji „*Familiaris consortio*” poświęcił cały rozdział właśnie osobom żyjącym w związkach niesakramentalnych.

² Używam świadomie terminu „małżeństwo niesakramentalne”, choć wiem, że istnieją różne opinie na temat tego, czy jest to uprawnione, czy raczej nie zachować określenia „małżeństwo” dla tych, którzy złączyli się węzłem sakramentalnym. Uważam jednak, że małżeństwo jest formą życia starszą niż sakrament małżeństwa, dlatego także ci, którzy zawarli je po raz drugi i żyją w trwałej wspólnocie z zamiarem pozostania w niej przez całe życie mają w jakimś sensie prawo do używania w odniesieniu do siebie terminu „małżeństwo”. Jednocześnie rozumiem zdanie tych, którzy mają w tej kwestii przeciwną opinię.

³ A. Cieślík, B. Pawelec, *Drogi nadziei. Rekolekcje dla małżeństw niesakramentalnych*, Kraków 2000; A. Cieślík, *Gdy żyjesz w związku niesakramentalnym*, Kraków 2005; tenże, *Jestem po rozwodzie i co dalej*, Kraków 2010.

Zrobił to zresztą w absolutnie niezwykły sposób. My bowiem zwykle postrzegamy małżonków niesakramentalnych przez pryzmat tego, czego im nie wolno w Kościele. Nawet oni sami często określają siebie w taki właśnie sposób: jako tych, którzy nie mogą iść do spowiedzi i nie mogą przyjąć komunii świętej. Tymczasem papież zaczął tę część dokumentu od wskazania, jak wiele środków zbawienia dostępnych jest dla tych, którzy znaleźli się w powtórnych, niesakramentalnych związkach. Spróbujmy się więc wczytać w myśl Jana Pawła II: *Razem z Synodem wzywam gorąco pasterzy i całą wspólnotę wiernych do okazania pomocy rozwiedzionym, do podejmowania z troskliwą miłością starań o to, by nie czuli się oni odłączeni od Kościoła, skoro mogą, owszem, jako ochrzczeni, powinni uczestniczyć w jego życiu. Niech będą zachęcani do słuchania Słowa Bożego, do uczęszczania na Mszę świętą, do wytrwania w modlitwie, do pomnażania dzieł miłości oraz inicjatyw wspólnoty na rzecz sprawiedliwości, do wychowywania dzieci w wierze chrześcijańskiej, do pielęgnowania ducha i czynów pokutnych, ażeby w ten sposób z dnia na dzień wypraszali sobie u Boga łaskę. Niech Kościół modli się za nich, niech im dodaje odwagi, niech okaże się miłosierną matką, podtrzymując ich w wierze i nadziei (FC 84).*

Słuchanie Słowa Bożego jest zadaniem każdego chrześcijanina. Już w IV wieku święty Hieronim, który jako pierwszy przetłumażył całą Biblię na łacinę, napisał, że nieznajomość Pisma Świętego jest nieznajomością Chrystusa. Nie chodzi tu jednak tylko o jakiś rodzaj intelektualnego poznania. Nawet podczas lektury zwykłej książki wchodzi się w relację nie tylko z jej bohaterami, lecz również, a może nawet przede wszystkim z autorem. Czytanie Słowa Bożego to nie tyle praca z tekstem, ile raczej spotkanie Jezusa, wejście z Nim w osobistą relację. W czasie spotkań w duszpasterstwie dla par niesakramentalnych „Drogi nadziei” często sięgamy po Pismo Święte, by je nie tylko czytać, ale także rozważać. Dla wielu osób uczestniczących w tych biblijnych kręgach jest to pierwszy w życiu głębszy kontakt ze Słowem Bożym. Nieraz po przeanalizowaniu jakiegoś fragmentu mówią, że pewnie ich życie potoczyłoby się inaczej, gdyby wcześniej dotarły do ich świadomości treści,

które ten fragment zawiera. A przecież od dzieciństwa słyszeli te fragmenty w kościele czy na katechezie. Wtedy jednak nie odnosili wrażenia, że dotyczą one ich życia. Zupełnie czymś innym jest przeczytać lub usłyszeć jakąś treść, a czym innym ją przeżyć. Można wielokrotnie słyszeć jakieś słowa, ale nigdy nie odnosić ich do siebie. Potrzebna jest jakaś szczególna chwila, sytuacja, jakiś przebłysk łaski, by nagle słowo stało się dla kogoś oczywiste.

Spotkanie z żywym Słowem pozwala nam często odkryć, kim naprawdę jesteśmy, spojrzeć na siebie oczami Jezusa Chrystusa. Takie odkrycia bywają trudne. Bardzo często dotyczą naszych chorych miejsc, słabości, zranień. Nie zawsze dzieje się to w jednej chwili. Czasami słowo draży świadomość powoli, niczym kropla skałę. Dla osób żyjących w małżeństwach niesakramentalnych najtrudniejszym momentem jest często stanięcie wobec prawdy: Tak, moje życie domaga się uporządkowania. Nie można tej prawdy po prostu pokazać. Trzeba pozwolić człowiekowi ją odkryć. Jeden z moich wykładowców mawiał, że tę samą prawdę można podać człowiekowi na widłach albo na widelcu. Wprowadzanie w Słowo Boże jest jak podawanie prawdy na widelcu: powoli, małymi dawkami, w miarę narastania głodu. Aż w pewnym momencie człowiek zapagnie jeść samodzielnie. Dla małżonków niesakramentalnych te odkrycia bywają nieraz bardzo trudne. Rozumieją, że muszą coś zmienić w swoim życiu, ale zdają sobie też sprawę z tego, jak bardzo te zmiany mogą się okazać kosztowne. Jeśli jednak sami odkryją, że Jezus, który za nich umarł, pragnie w nich takiej zmiany, to często nie potrafią zaznać spokoju, dopóki ta zmiana nie nastąpi, nawet jeżeli wymaga to lat wysiłku.

Jednym z owoców tęsknoty za Jezusem jest chęć uczestniczenia w mszy świętej. Ale małżonkowie niesakramentalni pytają często: Po co chodzić na mszę świętą, jeśli nie można w niej w pełni uczestniczyć? Przyznam, że czasem chciałbym, aby takie pytanie zadawał sobie ogół wiernych. Kiedy widzę bowiem, jak w dwa czy trzy miesiące po Wielkanocy ponad połowa uczestników mszy z mojej parafii zostaje w ławkach, gdy reszta idzie do komunii świętej, to myślę, że świadectwo tych tęskniących latami za Eucharystią byłoby dla nich bardzo przydatne. A tęsknią czasami bardzo moc-

no. Wielu z nich opowiada, że najtrudniejszy jest dla nich właśnie czas świąt, kiedy ludzie masowo spowiadają się i idą do komunii. Niejedna twarz pozostającego w ławce niesakramentalnego małżonka zalewa się wtedy łzami.

Mówienie i słuchanie

Wiemy, że msza święta ma podwójny charakter: jest Ofiarą i Ucztą równocześnie. Nawet jeśli nie możemy uczestniczyć w Uczcie, pozostajemy uczestnikami Ofiary. Bez względu na możliwość przystąpienia do komunii lub jej brak Jezus na ołtarzu uaktualnia swoją śmierć dla każdego z uczestników Eucharystii. Każdy więc staje niejako pod krzyżem, jak Maryja, święty Jan i kilkoro tych, którym nie zabrakło odwagi bycia z Jezusem do końca. Sama ta obecność ma już nieocenioną wartość. Dzięki niej nie przestajemy sobie uświadamiać ceny, za którą zostaliśmy odkupieni do wiecznego życia. Jeśli w znakach, pod którymi kryje się istota mszy, dostrzegamy rzeczywiście dramat Chrystusa odrzuconego przez ludzi, tych, których kocha i za których umiera, to rodzi to w nas poczucie szczególnej więzi i solidarności z Nim. To właśnie dzięki przeżyciu misterium krzyża obecnego w Eucharystii małżonkowie niesakramentalni uświadamiają sobie często, że Jezus nie jest kimś, kto się na nich uwziął, lecz jest tym, który ich głęboko rozumie i staje z nimi po tej samej stronie; że także za nich oddaje życie, a ich zbawienie leży Mu na sercu. Bycie w bliskości krzyża jest także wydarzeniem, które niejako zmusza człowieka do opowiedzenia się po którejś ze stron, do odrzucenia Jezusa lub całkowitego przyłgnięcia do Niego. Dlatego właśnie małżonkom niesakramentalnym warto uświadamiać ten aspekt mszy świętej: że jest ona Ofiarą Chrystusa, do uczestnictwa w której zostali zaproszeni. A co w takim razie z Ucztą? Jeśli zakładamy wciąż, że mamy do czynienia z osobami, które nie są gotowe do sakramentalnego pojednania z Bogiem, napotykamy tu na zasadniczą trudność. Jednakże komunie eucharystyczna składa się niejako z dwóch elementów: fizycznego i duchowego. Pierwszy z nich to spożycie Ciała Chrystusa obecnego w postaci chleba; drugi to wewnętrzna postawa człowieka gotowego przyjąć Chrystusa nie tylko w chlebie, który przemieni się w cząstkę naszego ciała, lecz

także jako swojego Pana, który będzie decydował o zasadniczych sprawach naszego życia. Dla znacznej liczby niesakramentalnych małżonków fizyczny aspekt komunii pozostaje wciąż niedostępny. Jednak komunია duchowa jest u nich szczególnie silna. Właśnie tęsknota za zjednoczeniem z Jezusem połączona z niemożnością spożycia hostii powoduje, że duchowe przyłgnięcie do Niego staje się często u tych osób wyjątkowo silne. Znam małżonków niesakramentalnych takich, którzy przychodzą na mszę świętą kilka razy w tygodniu właśnie ze względu na możliwość przeżycia duchowej komunii. Ich obecność dla mnie samego ma wymiar świadectwa. Od siedemnastu lat codziennie odprawiam mszę. I często zmagam się z rutyną nie pozwalającą mi w dostateczny sposób zagłębić się w tajemnicę, którą sprawuję i w której uczestniczę. Tymczasem, kiedy widzę osoby pogrążone w głębokiej modlitwie w czasie komunii, choć do niej nie przystąpiły, łatwiej mi pamiętać o istocie tego, co się dzieje, czy o tak potrzebnej chwili dziękczynienia. Wiem, że dla nich uczestnictwo w mszy nigdy nie będzie bezsensowne.

Nie ma istotnego powodu, by modlitwa osób żyjących w powtórnych związkach różniła się jakoś od modlitwy pozostałych ochrzczonych. Dawniej miałem takie przekonanie, że aby móc się modlić, trzeba być najpierw w stanie łaski. Trochę na zasadzie, że trudno rozmawiać z kimś, z kim jest się w niezgodzie. Ale modlitwa to przecież rozmowa z Bogiem. W Biblii jest mnóstwo opisów osób, które przychodziły rozmawiać z Bogiem w najgorszych momentach swego życia. Przykładem może być choćby dramatyczna modlitwa Dawida po grzechu z Batszebą, kiedy zagrożone było życie jego syna. Do Jezusa także przychodzili grzesznicy, a On rozmawiał z nimi i nie wymagał nawrócenia jako warunku wstępnego. Niezwykle piękna jest też przypowieść o faryzeuszu i celniku, którzy przyszedli do świątyni, aby się modlić. Celnik był grzesznikiem i jasno zdawał sobie z tego sprawę. Przyniósł całą swoją duchową i moralną nędzę, by ją wyznać przed Bogiem i wrócił do domu usprawiedliwiony, natomiast faryzeusz, chociaż był moralnie czysty, nie miał w sobie dość pokory, by prosić Boga o usprawiedliwienie. Myślę, że wielu niesakramentalnych małżonków odnalazłoby siebie w tej postawie modlącego się celnika. *Tak, Panie, jestem*

grzeszny i świadom mojej słabości. Nie mogę zbliżyć się do Ciebie i stanąć tak blisko jak faryzeusz. Byłbym nim, gdybym mimo swego grzechu próbował udawać, że wszystko jest w porządku. Moje miejsce jest teraz w progu i nie mam o to pretensji do nikogo, poza sobą samym. Wiem jednak, że Ty możesz to zmienić, bo jesteś tym, który daje usprawiedliwienie. Powiedz mi, jak mam szukać mojej drogi do pełnej jedności z Tobą? Właśnie to wołanie do Boga, by pokazał nam plan, jaki układa wciąż dla naszego życia, jest najistotniejszą częścią modlitwy. Nie jest ona przecież tylko mówieniem do Boga, zarzucaniem Go prośbami, opowiadaniem o tym, co i tak przecież wie, lecz może się stać słuchaniem.

Zaangażowanie w Kościele

Kiedy Jan Paweł II pisze w swoim dokumencie o pomnażaniu dzieł miłości i inicjatyw wspólnoty na rzecz sprawiedliwości, któremu mogą się oddawać osoby żyjące w związkach niesakramentalnych, z pewnością ma na myśli jakąś formę wspólnego działania w Kościele. Jest to o tyle zaskakujące, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu małżonkowie niesakramentalni byli traktowani w Kościele jako osoby drugiej kategorii. Czterdzieści, a może i trzydzieści lat temu ich mieszkania omijało się jeszcze w czasie kolędowej wizyty. Wtedy nie do pomyślenia było, aby pozwolić im na jakąkolwiek formę czynnego zaangażowania w Kościele. Myślę, że dla wielu duszpasterzy byłoby wtedy wręcz zgorszeniem, gdyby osoba niemogąca przystąpić do spowiedzi i komunii (a przecież papież nie pisze, że warunkiem wstępnym zaangażowania jest spowiedź) miała w jakikolwiek sposób występować w imieniu Kościoła czy choćby parafii. Widać, jak przez blisko trzydzieści lat, które upłynęły od wydania „Familiaris consortio”, zmienił się sposób myślenia duszpasterzy o małżonkach niesakramentalnych. Dziś nie tylko pozwalamy im na różnorakie formy zaangażowania w Kościele, ale wręcz tworzymy dla nich specjalne duszpasterstwa, zapraszamy na rekolekcje. Dziś wielu księży stawia sobie raczej pytanie o granice duszpasterskiego zaangażowania osób z powtórnych małżeństw.

Staram się zachęcić wszystkich małżonków niesakramentalnych do tego, by nie bali się różnorakich form zaangażowania

w Kościele. Oczywiście nie zawsze będzie to dla nich łatwe. Mentalność ludzi potrzebuje czasu, aby się zmienić, i dla wielu takie zaangażowanie będzie trudne do przyjęcia. Chciałbym zauważyć jednak, że w tym przypadku dosłownego sensu nabiera powiedzenie o byciu bardziej papieskim od papieża. Jeśli sam Jan Paweł II zachęca osoby żyjące w związkach niesakramentalnych do czynnego zaangażowania w różne wspólnoty kościelne, to ktoś, kto chciałby im odmówić tego prawa tylko ze względu na ich życiową sytuację, nie tyle staje się bardziej papieski od papieża, ile wręcz postępuje wbrew jego woli i intencjom. A przecież takie zaangażowanie może się okazać czymś niezwykle ważnym w ich duchowym rozwoju. Pamiętam, jak w mojej rodzinnej parafii, która właśnie powstawała, budowano kaplicę. Był to początek przemian ustrojowych w Polsce, czas solidarnościowego entuzjazmu. Pamiętam, jak do pomocy przy budowie przychodziły osoby, których nigdy wcześniej nie widywało się w kościele, a nawet takie, które deklarowały się jako niewierzące lub były związane mocno z partią. Nie czuły się jeszcze gotowe, by pójść na mszę świętą czy do spowiedzi, ale pomoc przy rozładowywaniu cegły była ich pierwszym gestem w kierunku poszukiwania kontaktu z Kościołem. I muszę przyznać, że w większości przypadków ta pomoc była chętnie przyjmowana. Niektórzy z nich w tamtym czasie na trwałe związali się z Bogiem i Kościołem i są w nim do dzisiaj, innym entuzjazmu wystarczyło tylko na jakiś czas. Ale gdyby tym pierwszym ktoś wówczas powiedział: *Idźcie stąd, nie jesteście nam potrzebni*, prawdopodobnie większość z nich do dzisiaj żyłaby z dala od swojej parafii i od sakramentów.

Dziecko wobec sakramentów

Wychowanie dzieci w wierze to nie tyle uczenie ich modlitw, zasad moralnych czy prawd wiary, ile – przede wszystkim – dawanie takiego przykładu przeżywania własnej relacji z Bogiem, który dla dzieci mógłby okazać się pociągający. Jednak małżonkowie niesakramentalni napotykają tu poważny problem. Zwykle nie wszystkie środki zbawienia będą dla nich dostępne. Jak przekonać dziecko, że spowiedź i komunie święta są wielkimi

wartościami, jeśli nie widzi ono rodziców przystępujących do sakramentów? Wielu spośród rodziców, którzy nie mają żadnych przeszkód w życiu sakramentalnym, a nie korzystają z niego lub robią to sporadycznie, próbuje równocześnie wymusić na swoich dzieciach, by sumiennie wypełniały swoje religijne obowiązki. Zwykle skutkiem takiej postawy jest coraz silniejsze zniechęcenie dziecka do praktyk religijnych. Dzieci bardzo szybko orientują się bowiem, że w przekonaniu rodziców wiara jest czymś, co jest zadaniem dzieci, podobnie jak odrabianie lekcji, podczas gdy rodzice są już wolni od tego typu obowiązków. Każde dziecko nosi w sercu pragnienie jak najszybszego dorastania. Często więc powstaje w nich przekonanie, że jak będą duże, jak ich rodzice, nie będą już musiały chodzić do kościoła lub modlić się. A co zrobić, kiedy sytuacja życiowa nie pozwala rodzicom na przeżycie sakramentu pojednania i Eucharystii? Jak przekonać dziecko, że coś, czego nie robią rodzice, może być równocześnie wartością dla niego? Myślę, że bardzo ważne jest otwarte powiedzenie dziecku, dlaczego rodzice nie mogą przystąpić do spowiedzi. Wydaje mi się, że najlepiej zrobić to w czasie, kiedy dziecko rozpoczyna przygotowania do Pierwszej Komunii. Ważne jest, by miało ono świadomość, że nieprzystępowanie rodziców do sakramentów nie jest wynikiem niedoceniań sakramentów, lecz istnieje taka przeszkoda, której rodzice w obecnej sytuacji nie są w stanie pokonać. Może się to wydawać dość skomplikowane dla siedmiolatka i dlatego trzeba umieć dostosować ten przekaz do jego możliwości. Dla takiego dziecka dość zrozumiałe jest na przykład pojęcie tęsknoty. Dzieci tęsknią za rodzicami, kiedy nie ma ich w domu, tęsknią za świętami, których w żaden sposób nie da się przyspieszyć i tak dalej. Powiedzenie dziecku, że rodzice tęsknią za Panem Jezusem w komunii świętej, ale na razie nie mogą Go przyjąć, ponieważ w ich życiu zdarzyło się coś, co ten moment znacznie opóźni, będzie więc dla dziecka zrozumiałe i często wystarczające. Nie spowoduje też zlekceważenia Pierwszej Komunii Świętej. Przeciwnie, jeśli dziecko otrzyma przekaz mówiący o tym, że zostanie dopuszczone do czegoś, co dla rodziców jest jeszcze niedostępne, to poczuje się bardzo ważne i docenione. Rodzice mogą je nawet prosić o to,

by przyjął komunię w ich intencji i prosiło, by i oni kiedyś zostali dopuszczeni do swojej komunii z Jezusem.

Pokuta, pojednanie

Ostatnim z elementów duchowości, do których Jan Paweł II zachęca osoby żyjące w powtórnych, niesakramentalnych małżeństwach, jest pielęgnowanie ducha i czynów pokutnych. Wydaje się, że jest to element szczególnie ważny dla tych, którzy wiele lat swojego życia spędzają, obiektywnie patrząc, w stanie grzechu ciężkiego. Pokuta i dochodzenie do stanu łaski nie zawsze dokonuje się w krótkim czasie, nieraz jest to proces rozciągnięty na lata. W pierwszych wiekach Kościoła zdarzała się i taka praktyka, że człowiek za ciężki grzech popełniony publicznie do końca swojego życia pozostawał pokutnikiem, by dopiero na łożu śmierci otrzymać pojednanie z Bogiem i Kościołem. Dziś oczywiście ta praktyka nie istnieje, natomiast w przypadku małżeństw niesakramentalnych zdarza się, że przechodzenie od grzechu do stanu łaski może zajmować wiele lat, a czasem nawet dopełnia się dopiero u kresu życia. Nie znaczy to, że lata te są okresem biernego oczekiwania. Doświadczenie pracy z małżonkami niesakramentalnymi nauczyło mnie, że jeśli za pełne pojednanie z Bogiem trzeba zapłacić wielką cenę, to człowiek musi mieć czas na dojrzewanie do takiej decyzji. Jest to nieraz proces bardzo złożony. Pojednanie i przebaczenie w życiu małżonków niesakramentalnych jest obecne na różnych płaszczyznach. Często zanim przychodzi dla nich dzień pełnego przebaczenia i pojednania się z Bogiem musi nastąpić inne przebaczenie, którego podmiotem są oni sami. Wielu z nich to osoby, które kiedyś zostały porzucone przez swoich sakramentalnych małżonków. Niejeden raz odbywało się to w bardzo dramatycznych okolicznościach. Wielu z nich przez długie lata nosi w sobie żal i poczucie krzywdy. Jest to nieraz tym trudniejsze, że nigdy nie zostali przez swoich sakramentalnych współmałżonków poproszeni o przebaczenie. Przeciwnie, często nawet po rozwodzie relacje pomiędzy byłymi małżonkami stawały się coraz bardziej napięte: dochodziło do sporów o kontakty z dziećmi, o alimenty. Wrogość mogła narastać przez dłuższy czas. Kiedy osoba, która doświadczyła takich przeżyć, sama zaczyna myśleć

o szukania dróg pojednania z Bogiem i Kościołem, zdaje sobie sprawę z tego, że najpierw sama musi przebaczyć osobie, która ją głęboko zraniła. W Modlitwie Pańskiej odmawianej codziennie prosimy słowami: *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*. Znaczy to przecież dokładnie tyle, że jeśli sami nie zdecydowaliśmy się przebaczyć, to wypowiadając te słowa, będziemy prosić Boga, by i On nie przebaczał nam naszych grzechów. Nie można wejść na drogę pokuty, jeśli za sobą zostawiło się kogoś, komu nie umie się przebaczyć. Oczywiście samo przebaczenie również nie dokonuje się w jednej chwili. Najpierw jest to decyzja podejmowana czasem wbrew temu, co czujemy i na co mamy ochotę. Za tą decyzją stara się podążać nasz rozum. Najpóźniej i najtrudniej przebaczenie dokonuje się na poziomie emocji, które muszą zostać uleczone w powolnym procesie, chyba że – co się czasem zdarza – łaska dokona tego w jednej chwili.

Pewnie teraz kolejne akapity trzeba by było poświęcić głoszeniu nadziei na odzyskanie pełni sakramentalnego życia. Wbrew pozorom dróg, które do tego prowadzą, jest kilka. Czasem przecież sakramentalny współmałżonek umiera, co daje możliwość uporządkowania swoich spraw przez zawarcie drugiego – sakramentalnego małżeństwa. Coraz częstsze są również procesy o stwierdzenie nieważności małżeństwa sakramentalnego, co również daje możliwość poukładania swojego życia zgodnie z nauką Kościoła. Jest wreszcie inna droga – wybór wstrzemięźliwości seksualnej, gdy z ważnych przyczyn małżonkowie nie mogliby się rozstać. Niezwykle trudna, czasem wymagająca długich lat dojrzewania, ale dostępna niemal dla wszystkich.

Ks. ANDRZEJ CIEŚLIK, kapłan diecezji sosnowieckiej. 1993 przyjął święcenia. 1994-1997 studia w Instytucie Studiów nad Rodziną w Łomiankach. 1999 doktorat z teologii pastoralnej na UKSW. 2005-2007 studia podyplomowe z duchowości na KUL. Od 2001 diecezjalny duszpasterz rodzin, od 2003 dyrektor Diecezjalnego Centrum Służby Rodzinie i Życiu w Sosnowcu. Autor wielu publikacji na temat związków niesakramentalnych. Mieszka w Będzinie.

Tomasz Gałkowski

Małżeństwo już nieważne?

O co chodzi w kanonicznym procesie o stwierdzenie nieważności małżeństwa?

W ostatnich kilku latach daje się zaobserwować coraz większe zainteresowanie kwestią kościelnych procesów o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Przyczyną, ale także skutkiem tego zainteresowania, jest wzrastająca liczba spraw prowadzonych w sądach kościelnych w Polsce. Z jednej strony towarzyszy temu niezrozumienie istoty tych spraw i mylne ich traktowanie analogicznie do cywilnych procesów rozwodowych. Z drugiej strony patrzy się na to postępowanie jak na pewną nowość w Kościele, o której teraz po prostu jest głośno. Procesy te uważane są za rozluźnienie kościelnej dyscypliny w odpowiedzi na rosnącą świadomość prorozwodową i liczbę rozwodów.

Pomimo zwiększającego się zainteresowania procesami o stwierdzenie nieważności małżeństwa i wyjaśnieniami ich istoty przez kompetentne osoby – pojawiają się, głównie w mediach, błędne sformułowania: unieważnienie małżeństwa czy rozwód kościelny, sugerujące, że w Kościele od niedawna istnieją rozwody. W takim razie – o co właściwie chodzi w procesie o stwierdzenie nieważności małżeństwa?

Czy trudno uzyskać „rozwód” w Kościele?

W ostatnich latach w bardzo szybkim tempie wzrasta w Polsce liczba spraw wnoszonych do trybunałów kościelnych z prośbą o stwierdzenie nieważności małżeństwa. W dziesięcioleciu 1997–2007 liczba spraw przyjętych do rozpatrzenia w ciągu roku wzrosła niemal dwukrotnie (z 1884 w 1997 do 3127 w 2007 roku). Tendencja ta utrzymuje się. W 2007 roku (biorąc pod uwagę także sprawy, które wniesiono przed tym rokiem) wydano 2047 wyroków pozytywnych (79,3 procent spośród wszystkich wydanych), czyli takich, w których orzeczono nieważność zawartego małżeństwa. Taki wyrok nie jest jeszcze prawomocny, gdyż wymaga potwierdzenia przez trybunał drugiej instancji w odniesieniu do tego samego tytułu (tej samej przyczyny) nieważności, z którego był rozpatrywany w pierwszej instancji. W 2007 roku w drugiej instancji wydano 2039 ostatecznych orzeczeń nieważności małżeństwa na ogólną liczbę 2187 rozpatrywanych spraw, co stanowi 93,2 procent⁴. Oznacza to, że nie wszystkie wyroki pierwszej instancji znalazły potwierdzenie w drugiej instancji. Niemniej jednak ponad 93 procent wyroków zostało potwierdzonych – to znaczy, że stwierdzono ostatecznie nieważność małżeństwa w 2039 sytuacjach. A więc liczba kościelnych związków małżeńskich uznawanych dotychczas za ważne z punktu widzenia prawa kościelnego zmniejszyła się o taką liczbę. Orzeczenie nieważności mówi jednak więcej. Te związki po prostu nie zaistniały, choć do momentu orzeczenia sądu za takie były uważane i ujmowano je w statystykach. W chwili definitywnego orzeczenia sądu osoby uzyskały możliwość ponownego zawarcia ważnego związku małżeńskiego.

Czy podane wyżej liczby świadczą o dużej czy małej liczbie stwierdzeń nieważności małżeństwa? Z jednej strony u jednych

⁴ Por. statystyki podane przez P. Malecha, *Polski wymiar sprawiedliwości widziany przez pryzmat Sygnatury Apostolskiej*, w: T. Rozkrut (red.), *Orzecznictwo rotalne w praktyce sądowej Kościoła. Materiały z ogólnopolskiego spotkania pracowników sądownictwa kościelnego w Gródku nad Dunajcem w dniach 15-16 czerwca 2009 roku*, Tarnów 2010, s. 23-35. Według *Annuario statisticum Ecclesiae* z 2010 r. w 2008 r. wniesiono w Polsce już 3528 spraw o stwierdzenie nieważności małżeństwa.

liczba ta może budzić niepokój i zdumienie zwłaszcza, że jeszcze do niedawna o procesach dotyczących stwierdzenia nieważności małżeństwa nie było głośno w mediach. Z drugiej – gdy tę liczbę porówna się z ogólną liczbą rozwodów cywilnych w Polsce (według danych GUS 66 500 w 2007 i 72 000 w 2009 roku²), to nie wydaje się aż tak wiele. Jeśli jednak porównamy kościelne dane sądowe w Polsce z tymi samymi w Europie, okazuje się, że pod względem liczby wnoszonych spraw na naszym kontynencie zajmujemy pierwsze miejsce (w 2007 roku takich spraw we Włoszech wniesiono 3101, w Hiszpanii 1262, w całej zaś Europie 12 734 i dla przykładu w USA 24 937)³. W statystykach wyprzedzamy dużo liczniejsze państwo włoskie. Fakt ten może niepokoić – tym bardziej że we Włoszech decyzje kościelne o stwierdzeniu nieważności małżeństwa mają również skutki cywilne (rozwód cywilny). Nie pozostaje to bez znaczenia dla liczby spraw wnoszonych we Włoszech prawie równej liczbie spraw w Polsce. Oznacza to, że Włosi – wtedy, gdy proszą sądy kościelne o stwierdzenie nieważności małżeństwa – kierują się nie tylko pobudkami wynikającymi z wiary.

A zatem: trudno czy łatwo uzyskać „rozwód” w Kościele? W sądach kościelnych można się spotkać z trzema rodzajami postaw. Przychodzą ci, którzy słyszeli o możliwości stwierdzenia nieważności małżeństwa i chcą zasięgnąć informacji dotyczących ewentualnych przyczyn nieważności związku i łączącej się z tym procedury. Spotykamy się również, choć rzadziej, z osobami mającymi pretensje do instytucji stwierdzenia nieważności małżeństwa. Po części ludzie ci dają odpowiedź na postawione powyżej pytanie. Niektórzy wręcz żądają natychmiastowego stwierdzenia nieważności, bo ich zdaniem wszystko jest jasne i fakty na to wskazują. Jako przyczynę nieważności małżeństwa, do której są przekonani, podają najczęściej zdradę małżeńską, niechęć do posiadania potomstwa, opuszczenie przez małżonka, zmuszenie do zawarcia ślubu czy jakąś silną chorobę psychiczną, nie pozwalającą jednej

² http://www.prawnik-online.eu/porady/rodzinne/statystyka_rozwodow_w_polsce_statystyki_rozwodowe.html (dostęp: 9.04.2014 r.).

³ Por. P. Malecha, tamże.

ze stron na funkcjonowanie w rodzinie czy – często – na sprostanie wymaganiom drugiej strony, lub po prostu to, że miłość pomiędzy stronami ustała albo nie jest taka, jakiej się oczekiwało. Ponadto są zdziwieni jakąś procedurą, koniecznością przedstawienia świadków, oczekiwaniem na wyrok. Przy tym oskarżają sąd o drobiazgowość, nieludzką postawę wobec siebie jako osób poszkodowanych, a sam Kościół obwiniają za to, że stawia im przeszkody na drodze ułożenia sobie nowego życia. W mniemaniu takich sądownych petentów fakty wymienione przez nich wyraźnie wskazują na nieważność małżeństwa. Po przeciwnej stronie znajdują się te osoby, które przychodzą – najczęściej jako pozwane – z przeświadczeniem, że skoro zawarły raz na zawsze małżeństwo w kościele, przed księdzem i wobec świadków – to ich związek trwa i Kościół nie może go rozwiązywać. Takim osobom trudno jest wytłumaczyć podstawy i charakter złożonej skargi. Poza tym dość często stawiają siebie na pozycji obronnej, czują się oskarżone i żądają obrony adwokackiej na wzór sądów cywilnych. Próbują za wszelką cenę bronić trwałości własnego małżeństwa nawet wtedy, gdy sąd cywilny orzekł już rozwód. Obie postawy wynikają z nieświadomości i niewiedzy dotyczących małżeństwa katolickiego, warunków ważności zawarcia związku czy przyczyn, które nie powodują jego zaistnienia.

O tym, czy trudno, czy łatwo uzyskać stwierdzenie nieważności małżeństwa niech przekonają liczby. W 2007 roku liczba wydanych wyroków stwierdzających nieważność małżeństwa wyniosła w pierwszej instancji 79,3 procent i była niższa od średniej europejskiej (85,5 procent) oraz światowej (93,1 procent). W drugiej instancji 89 procent decyzji sądowych potwierdziło wyroki pierwszej instancji. Liczba spraw wnoszonych do trybunałów kościelnych nieustannie wzrasta, ale procentowa zależność pomiędzy ich liczbą a liczbą orzeczeń nieważności utrzymuje się prawie na tym samym poziomie (w 1997 roku 76,4 procent). Świadczy to o stałej praktyce sądowej opartej na przestrzeganiu kościelnej doktryny o małżeństwie.

Powyższe liczby pokazują, że znaczna liczba procesów o stwierdzenie nieważności małżeństwa kończy się takim stwierdzeniem.

Wydawać się może, że jest to dość pokaźna liczba. Należy jednak wziąć pod uwagę również to, że na etapie wstępnym wiele ewentualnych spraw nie zostaje dopuszczonych do rozpatrzenia. Nie jest tu przyczyną niechęć czy opieszałość sądu, lecz brak jakichkolwiek podstaw dla rozpoczęcia procedury. Na tym etapie należy bowiem stwierdzić istnienie podstaw i przesłanek przyczyny nieważności małżeństwa, która następnie w procesie może zostać udowodniona lub nie.

Statystyki pokazują jednak, że w niektórych sądach w Polsce liczba stwierdzeń nieważności w stosunku do wszystkich spraw rozpatrywanych osiąga 100 procent, a w innych zaledwie 40 procent. Znajomość tych danych nie stanowi o preferencjach poszczególnych sądów i na ich podstawie nie można wybierać sądów bardziej lub mniej „łaskawych”, gdyż kompetencje sądów są dokładnie uregulowane przez prawo kościelne. Łatwość czy trudność uzyskania zadowalającego wyroku nie zależy od liczby prowadzonych spraw czy zapracowania, co by mogło być przyczyną łagodniejszego lub ostrzejszego potraktowania przez sąd. Każdy przypadek ma swoją specyfikę. Sędziowie muszą się z nim dokładnie zapoznać, wysłuchać opinii biegłych oraz obrońcy węzła małżeńskiego (ów obrońca przytacza racjonalne argumenty za ważnością małżeństwa), przy czym mają zawsze na uwadze wzorcową i wiążącą praktykę sądową Trybunału Roty Rzymskiej. Sędzia, o ile osiągnie pewność moralną (stan pomiędzy pewnością absolutną i prawdopodobieństwem, który charakteryzuje się tym, że wyklucza jakąkolwiek uzasadnioną, czyli rozumną wątpliwość, ale jednocześnie pozostawia absolutną możliwość czegoś przeciwnego), ma obowiązek orzec nieważność małżeństwa. Stan niepewności moralnej na takie orzeczenie nie pozwala.

O łatwości czy trudności uzyskania orzeczenia nieważności małżeństwa w przekonaniu stron procesu może świadczyć jego skomplikowana i długotrwała procedura. W procesie tym nie chodzi jednak o wzajemne oskarżanie się stron o winę za rozpad małżeństwa, co wymagałoby pomocy adwokatów (uważanych często za kosztowanych, aczkolwiek adwokaci „urzędowi” działają bezpłatnie), lecz o zbadanie, czy małżeństwo pomiędzy stronami fak-

tycznie zaistniało lub nie. Rolą sędziów jest orzeczenie tego stanu rzeczy, a nie poszukiwanie winy po stronie jednego z małżonków. Inaczej niż w sądach cywilnych nie zawsze strona pozwana w procesie jest przyczyną rozpadu małżeństwa („winna”). Czasami strona powodowa bierze na siebie odpowiedzialność za nieważność zawartego małżeństwa. Sąd jest zatem zainteresowany samym małżeństwem, a nie poszukiwaniem winy i obarczaniem za rozpad małżeństwa któregoś z małżonków.

Jeśli chodzi o ramy czasowe procesu, to prawo wyraźnie postanawia, że proces w pierwszej instancji nie powinien trwać dłużej niż rok, a w drugiej instancji sześć miesięcy, o ile nie pojawiają się przyczyny, które go z samej natury rzeczy przedłużą.

„Rozwód” czy orzeczenie nieważności małżeństwa?

Zarówno w mediach, jak i pośród osób zgłaszających się do sądu, a także w potocznej komunikacji, procesy o stwierdzenie nieważności małżeństwa nazywane są po prostu kościelnymi rozwodami. Nie jest to jedynie skrót myślowy, ale przekonanie wynikające choćby z tego, o czym wspomniałem wyżej.

Kościół zawsze głosił – i czyni to nadal – świętość i nierozzerwalność związku małżeńskiego. Dbą o to, by związek ten faktycznie zaistniał, by w momencie zawierania małżeństwa wszystkie jego ważne składniki były obecne. Należą do nich istotne elementy (dobro małżonków, potomstwa, sakramentu) i przymioty (jedność i nierozzerwalność) małżeństwa. Ponadto osoby zawierające małżeństwo muszą być zdolne do wyrażenia zgody i wypełnienia zobowiązań wynikających z małżeństwa, jak również samo małżeństwo musi być zawarte w odpowiedniej formie. Gdy któryś z powyższych warunków nie jest spełniony, małżeństwo nie może zaistnieć. Zadaniem Kościoła jest właśnie orzeczenie takiego stanu rzeczy. Nie jest to żadną nowością w Kościele, lecz jego wielowiekową praktyką uświęconą wiarą i nauczaniem. Sądy kościelne mogą zatem stwierdzić niezaistnienie związku małżeńskiego, a po jego ważnym zawarciu nie mogą go rozerwać, czyli udzielić rozwodu (za wyjątkiem rozwiązania na mocy przywileju papieskiego małżeństwa niedopełnionego, przywileju Pawłowego czy przywile-

ju wiary). Kościół nie rozwiązuje zatem, na wzór sądów cywilnych, ważnie zawartego małżeństwa, lecz orzeka jedynie, że małżeństwo nie zostało zawarte i jako takie nie istnieje.

Zgodnie z nauką Kościoła małżeństwo to *przymierze, przez które mężczyzna i kobieta tworzą ze sobą wspólnotę całego życia, skierowaną ze swej natury do dobra małżonków oraz do zrodzenia i wychowania potomstwa*⁴. Pomiedzy ochrzczonymi jest rzeczywistością nie tylko ziemską, lecz nadprzyrodzoną i zostało *podniesione przez Chrystusa Pana do godności sakramentu*⁵.

Małżeństwo tworzy się w momencie wyrażenia zgody przez strony zdolne do tego. Tej zgody *nie może uzupełnić żadna ludzka władza*⁶. Zgoda małżeńska jest *aktem woli, którym mężczyzna i kobieta w nieodwołalnym przymierzu wzajemnie się sobie oddają i przyjmują w celu stworzenia małżeństwa*⁷.

Ocena ważności lub nieważności małżeństwa dokonuje się przez odwołanie się do momentu wyrażenia przez strony zgody małżeńskiej. Jej przedmiotem jest istnienie i stan woli nupturientów w momencie zawierania małżeństwa. Jeśli jedna ze stron zwróci się do sądu z prośbą o stwierdzenie jego nieważności, to musi on zbadać, czy małżeństwo zostało ważnie zawarte. Chodzi o to, by w konkretnie rozpatrywanym przypadku stwierdzić, czy wraz z zewnętrznym oświadczeniem woli współlistniał prawdziwy jej akt wewnętrzny.

Sądy kościelne nie rozpatrują ważności każdego zawartego małżeństwa, gdyż *małżeństwo cieszy się przychylnością prawa, dlatego w wątpliwości należy uważać je za ważne, dopóki nie udowodni się czegoś innego*⁸. Istotą procesu w sądach kościelnych jest zatem udowodnienie, że małżeństwo nie zostało zawarte. Jeśli to nie zostanie udowodnione, małżeństwo – pomimo faktycznego jego rozpadu – nadal uznawane jest za ważnie zawarte.

⁴ Kan. 1055 §1 KPK.

⁵ Tamże.

⁶ Kan. 1057 §1 KPK.

⁷ Kan. 1055 §2 KPK.

⁸ Kan. 1060 KPK.

Dość często – wobec trudności, które pojawiają się w małżeństwie – do sądów zwracają się dwie osoby z prośbą o zbadanie, czy małżeństwo między nimi zaistniało. Od decyzji oczekiwanej od sądów strony uzależniają ewentualną kontynuację związku lub zmierzają ku orzeczeniu rozvodu cywilnego w sądach państwowych. Sądy kościelne tym się nie zajmują. Ich rola zaczyna się w momencie, w którym jedno z małżonków zaskarży ważność małżeństwa i poda jednocześnie przesłanki, na których opiera swoje przekonanie. Zadaniem sądu jest najpierw weryfikacja przesłanek w odniesieniu do prawnie określonych przyczyn nieważności małżeństwa, a następnie udowodnienie ich istnienia w momencie wyrażania przez kontrahentów zgody małżeńskiej.

Z takimi prośbami małżonkowie zwracają się do sądów, w których przyjęta jest praktyka, że proces o stwierdzenie nieważności małżeństwa rozpoczyna się po stwierdzeniu faktu jego rozpadu oraz braku możliwości pogodzenia się stron i braku chęci kontynuowania małżeństwa. Potwierdzeniem rozpadu małżeństwa jest rozwód cywilny. Nie we wszystkich przypadkach jest on jednak konieczny.

Kiedy strony wprowadzają na forum kościelne sprawę o stwierdzenie nieważności małżeństwa, najczęściej powodowane są chęcią rozpoczęcia życia z nowym partnerem i możliwością pełnego uczestnictwa w życiu Kościoła, zwłaszcza, gdy zawarły już drugi związek cywilny. Istnieją także przypadki, i to nieodosobnione, że strony nie mają w perspektywie nowego związku, a pragną uspokoić swoje sumienie i stwierdzić, że nigdy nie zawarły małżeństwa, które się rozpadło. Czasami stwierdzają, że nie chcą nosić za sobą brzemienia błędu, winy i nieodpowiedzialnego czynu.

Z jakich przyczyn małżeństwo jest nieważne?

Przyczyny powodujące nieważność małżeństwa usystematyzowane są kanonicznie w trzech grupach. Są to przeszkody małżeńskie, które czynią osobę niezdolną do ważnego zawarcia małżeństwa. Istnienie takich przeszkód weryfikuje się najczęściej (choć nie zawsze jest to możliwe) przed zawarciem małżeństwa. Stwierdzenie pewności ich istnienia równoznaczne jest

z niemożnością zawarcia małżeństwa, gdyż takie małżeństwo będzie nieważne. Do takich przeszkód należą: przeszkoda wieku (ukończony szesnasty rok życia dla mężczyzny i czternasty dla kobiety – w Polsce wiek nupturientów określony jest dla obojga na osiemnaście lat, ale tylko do godziwego zawarcia małżeństwa); niemoc płciowa (uprzednia i trwała, absolutna czy względna niemożność dokonania stosunku małżeńskiego); ważnie zawarte inne małżeństwo, nawet niedopełnione; przeszkoda wiary (małżeństwo między osobą ochrzczoneą w Kościele katolickim lub do niego przyjętą i osobą nieochrzczoneą); przyjęcie sakramentu święceń w każdym stopniu (diakon, kapłan, biskup); złożenie wieczystego ślubu publicznego czystości w instytucie zakonnym; uprowadzenie lub przetrzymywanie kobiety z zamiarem zawarcia z nią małżeństwa; przeszkoda występku, czyli zabójstwo (także przez fizyczny lub moralny współudział) współmałżonka własnego lub osoby, z którą zamierza się zawrzeć małżeństwo; pokrewieństwo w linii prostej i do czwartego stopnia w linii bocznej; powinowactwo w linii prostej; przeszkoda przyzwoitości publicznej (powstaje z nieważnego małżeństwa po rozpoczęciu życia wspólnego albo z notorycznego lub publicznego konkubinatu i powoduje nieważność małżeństwa w pierwszym stopniu linii prostej między jedną ze stron i krewnymi drugiej strony); pokrewieństwo prawne wynikłe z adopcji w linii prostej lub w drugim stopniu linii bocznej.

W wielu z powyżej wskazanych przypadków istnieje możliwość uzyskania od kompetentnej władzy kościelnej dyspensy od przeszkody i zawarcia ważnego małżeństwa. Nie udziela się jednak dyspensy od przeszkody pokrewieństwa w linii prostej oraz w drugim stopniu linii bocznej.

Drugą grupę przyczyn stanowi brak formy zawarcia małżeństwa wymaganej przez prawo, czyli zawarcie go w innej formie niż wobec jednego świadka urzędowego (duchownego lub świeckiego posiadających uprawnienia do asystowania przy zawarciu małżeństwa) oraz dwóch świadków przygodnych. Akt wyrażenia przez kontrahentów zgody poza przewidzianą formą czyni go aktem nieważnym i nie powoduje zawarcia ważnego małżeństwa.

Zdarzają się sytuacje, w których o istnieniu przeszkody małżeńskiej lub braku formy kanonicznej małżonkowie dowiadują się po zawarciu małżeństwa. Pomimo tego chcą oni kontynuować związek. W takich przypadkach możliwe jest uważnienie małżeństwa. Wymaga to jednak ustania istniejącej dotychczas przeszkody małżeńskiej lub udzielenia od niej dyspensy oraz ponowienia zgody małżeńskiej przynajmniej przez stronę, która jest jej świadoma.

Trzecią grupę przyczyn nieważności małżeństwa, z którymi najczęściej sądy mają do czynienia, stanowią przyczyny wynikające z wad zgody małżeńskiej⁹. W takich sytuacjach należy określić, czy zachodzi taki brak woli u osoby wyrażającej zgodę na zawarcie małżeństwa, który został przez Kościół utrwalony w normach kanonicznych i powoduje nieważność małżeństwa od samego początku. Przyczyny, o których mowa, czynią osobę niezdolną do wyrażenia zgody konstytuującej małżeństwo wtedy, gdy jest ona pozbawiona wystarczającego używania rozumu; ma poważny brak rozeznania co do istotnych praw i obowiązków małżeńskich wzajemnie przekazywanych i przyjmowanych; jest niezdolna z przyczyn natury psychicznej do tego, by podjąć istotne obowiązki małżeńskie. Do tej grupy przyczyn należą również: błąd co do osoby, z którą się zawiera małżeństwo (inna niż ta, z którą małżeństwo było zamierzone); błąd co do jej przymiotu, o ile był on bezpośrednio i zasadniczo zamierzony (na przykład nieważne kto, byleby był żołnierzem, a okazuje się, że nim nie jest); błąd co do jedności i nierozzerwalności małżeństwa, jeśli determinuje wolę (zawarcie małżeństwa ze względu na przeświadczenie, że nie jest jedno i nierozzerwalne); podstęp, którym się posługuje jedna ze stron, by uzyskać zgodę małżeńską, jeśli dotyczy on przymiotu osoby mogącego ze swej natury zakłócić wspólnotę życia małżeńskiego (ukrywanie takiego przymiotu); wykluczenie (symulacja) małżeństwa lub jednego z jego elementów (wierność, potomstwo) lub przymiotów (jedność, nierozzerwalność); przymus lub bojaźń; warunek dotyczący przyszłości.

⁹ Według *Annuario statisticum Ecclesiae* z 2010 r. pośród spraw definitywnie zakończonych w Polsce w 2008 r. 2182 sprawy zakończyły się orzeczeniem z przyczyn wadliwie wyrażonej zgody małżeńskiej.

Najwięcej spośród wymienionych wyżej przyczyn, z których rozpatrywane są sprawy o nieważność małżeństwa, dotyczy niezdolności natury psychicznej podjęcia istotnych obowiązków małżeńskich. Ten stan weryfikuje się najczęściej po zawarciu małżeństwa, gdyż w momencie jego zawierania nupturienti nie zdają sobie sprawy z istnienia prawnych braków woli. Stwierdzenie nieważności małżeństwa bazuje na założeniu, że nikt nie może się zobowiązać do wypełnienia tego, czego nie potrafi wypełnić. Przyczyny tego stanu muszą znajdować się po stronie psychicznej nupturientów (nie chodzi tu na przykład o niechęć podjęcia obowiązków; dokonane z góry założenia; różnicę charakterów), ale nie muszą utożsamiać się z chorobami psychicznymi, choć te również tę niezdolność wywołują. Wśród konkretnych przyczyn można wymienić te, które znajdują się w sferze psychoseksualnej (anafrodytyzm, oziębłość seksualna, niedojrzałość psychoafektywna i seksualna) czy w porządku psychologicznym (osobowość: paranoidalna, nie-zrównoważona, histeryczna, aspołeczna).

Zdolność do podjęcia istotnych obowiązków małżeńskich oznacza zdolność oddania się drugiej osobie zarówno w sferze fizycznej, jak i duchowej, ponieważ w ten sposób wyraża się, rozwija i dojrzewa małżeństwo, którego istota polega na *głębokiej wspólnotocie życia i miłości*¹⁰. Zdolność oddania się drugiej osobie nie niszczy godności i autonomii osób. Wyraża się w zdolności do: przewyższania własnego egoizmu, dostrzegania wzajemnych niedostatków, akceptacji drugiego człowieka, zrozumienia jego cech i upodobań, szanowania odrębnego zdania, ustępstw w sytuacjach konfliktowych. Jest to zatem zdolność, którą można określić mianem umiejętności wyjścia poza własny świat. Z tej racji małżonkowie *wielkodusznie dzielą między sobą wszystko, bez niesprawiedliwych wyjątków i egoistycznych rachub*¹¹. Sprzeciwiają się temu postawy egoizmu, szukania siebie, samolubstwo, tendencje do panowania nad drugą stroną, brak tolerancji. W dowodzeniu niezdolności należy odwołać się do stanu osób przed zawarciem małżeństwa,

¹⁰ *Gaudium et spes*, 48.

¹¹ *Humanae vitae*, 9.

gdyż tylko w ten sposób można udowodnić, że strona (strony) była niezdolna do podjęcia istotnych obowiązków małżeńskich przed jego zawarciem, a po zawarciu nie była w stanie im sprostać.

Jak rozpocząć taki proces, gdy małżeństwo się rozpadło? Najpewniejszym sposobem zasięgnięcia informacji jest udanie się do sądu kościelnego z prośbą o poradę. Taką poradą służą także pojawiające się coraz częściej świeckie kancelarie adwokackie czy biura porad prawnych. Niestety, w znacznej liczbie przypadków sprawy są mylnie oceniane, pisane są skargi powodowe, które zawierają nieistniejące tytuły, a w przypadku tytułów poprawnie określonych nie są podawane odpowiednie argumenty za nimi stojące. Często osoby pracujące w takich instytucjach odwołują się do praktyki sądów cywilnych i przyczyn rozwodów orzekanych przez nie¹². Osoby, które zgłaszają się do sądów kościelnych, dziwią się następnie, że uzyskane w ten sposób porady (dobrze opłacone) nie znajdują zrozumienia i akceptacji w sądach kościelnych. Sądy kościelne kierują się swoim prawodawstwem istniejącym w oparciu o własną doktrynę dotyczącą małżeństwa, chroniąc tym samym podstawowe prawo człowieka do zawarcia małżeństwa wraz ze świętością związku małżeńskiego.

TOMASZ GAŁKOWSKI, ur. 1967, dr hab., prof. UKSW; pasjonista, 1991 studia teologiczne na PWT Sekcja Bobolanum; 1991-1995 studia na wydziale Prawa Kanonicznego PUG w Rzymie zakończone doktoratem. Obecnie kierownik Katedry Teorii Prawa Kościelnego na Wydziale Prawa Kanonicznego UKSW.

¹² W badaniach przeprowadzonych przez GUS w roku 2009 przyczyną jednej trzeciej orzeczonych rozwodów była niezgodność charakterów. Można przypuszczać, że ta tendencja będzie się utrzymywała w następnych latach.

Por. www.prawnik-online.eu/porady/rodzinne/przyczyny_rozwodow_statystyka.html

CZY MOŻNA ROZWIEŚĆ SIĘ PO KATOLICKU?

Aleksander Sobczak

Stwierdzenie nieważności małżeństwa i inne małżeńskie procesy kościelne

Wydawnictwo Zysk i S-ka,
Poznań 2010, ss. 356.

W ostatnich latach można zauważyć wzrost zainteresowania zagadnieniem stwierdzania nieważności małżeństwa w Kościele katolickim. W tym kontekście pojawia się немало niedomówień i nieporozumień. Można bowiem spotkać się z opinią, że Kościół katolicki wreszcie zaczął zezwalać na rozwody, więc osoby zainteresowane przeprowadzeniem procesu o stwierdzenie nieważności małżeństwa zapytują, jak można się rozwieść po katolicku.

Dobrze się stało, że pojawiła się publikacja Aleksandra Sobczaka, który dzieli

się swoim doświadczeniem jako kanonista zaangażowany w tego typu kwestie prawne. Niniejsze opracowanie stanowi rozwinięcie książki, którą autor napisał w 2001 roku. Tamta, jak zauważa Sobczak we wstępie do nowej książki, zatytułowana „Proces o stwierdzenie nieważności małżeństwa kościelnego”, była swoistego rodzaju poradnikiem *głównie dla osób prowadzących w sądzie kościelnym lub chcącym wprowadzić do niego sprawę o orzeczenie nieważności ich kanonicznego małżeństwa*. Książka ta spotkała się z dużym zainteresowaniem i bardzo dobrym przyjęciem zarówno ze strony duszpasterzy (...), jak i ze strony wielu osób świeckich (...). Książka ta od dłuższego już czasu jest jednak niedostępna na rynku księgarskim. Z tego powodu wielokrotnie zgłaszano potrzebę dodruku. Dlatego też autor postanowił napisać obszerniejszy i zaktualizowany poradnik na ten temat; uwzględnił w nim zmiany kanoniczno-prawne, które dokonały się w ostatnich latach, takie jak na przykład nowe wskazówki Stolicy Apostolskiej dotyczące tego zagadnienia.

W pierwszej części Sobczak podejmuje kwestię procesu o stwierdzenie nieważności małżeństwa kanonicznego. Zaczyna on swoją refleksję od podania istotnych informacji wiążących się z definicją i naturą małżeństwa z punktu widzenia teologii katolickiej. W drugiej kolejności autor przechodzi do przeszkód i wad, które uniemożliwiają zawarcie małżeństwa. Wreszcie opisuje prawną formę zawarcia małżeństwa; wiele miejsca poświęca przy tym małżeństwu

konkordatowemu. Ponadto uzupełnia tę refleksję o prawo cywilne obowiązujące w tym względzie w polskim Kodeksie Rodzinnym i Opiekuńczym.

Następnie autor przechodzi do samego stwierdzenia nieważności małżeństwa. W tym kontekście wskazuje na pewne praktyczne mankamenty polskich trybunałów kościelnych, takie jak na przykład faktyczny brak obrońców z urzędu. W praktyce oznacza to, że za usługi obrońcy zawsze trzeba płacić. W dalszej części autor mówi o dowodach, świadkach, biegłych, wizji lokalnej, oględzinach sądowych i domniemaniach. Potem zajmuje się zagadnieniem zajęcia stanowiska przez strony oraz wyrokiem i jego zaskarżeniem. Zamieszcza też jako załączniki schematy skarg powodowych, włącznie z przedstawieniem przypadków (tak zwanych kasusów). Z pewnością mogą one okazać się bardzo pomocne przy wnoszeniu sprawy do sądu kościelnego. Na końcu pierwszej części publikacji zamieszczone zostały przykładowe pytania, za pomocą których przesłuchuje się strony i świadków.

W dalszych częściach książki autor zajmuje się procesem o dyspensę od małżeństwa zawartego, a niedopełnionego. Należy zauważyć, że zagadnienie to przedstawia obszernie i szczegółowo. Najpierw zamieszcza zarys historyczny udzielania tej dyspensy, następnie opisuje istotne zagadnienia związane z samym procesem, który w skali lokalnej kończy się przychylną opinią biskupa i przesłaniem akt do Stolicy Apostolskiej. Autor przybliży też fazę decyzyjną, w ramach

której Kongregacja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów podejmuje decyzję o udzieleniu dyspensy od małżeństwa zawartego a niedopełnionego. *Podejmuje więc decyzję, czy należy doradzić Ojcu Świętemu udzielenie tej dyspensy, czy też nie.* Wreszcie autor ujawnia pewne kulisy samego sposobu udzielenia tej dyspensy; może jej udzielić przecież tylko biskup Rzymu: *Relację przygotowaną w Kongregacji przesyła się do Sekretariatu Stanu lub osobiście przedstawiana jest ona Ojcu Świętemu przez Kardynała Prefekta tej Kongregacji. Papież oraculo vivae voci, tzn. ustnie, albo przez notyfikację Sekretariatu Stanu, znając osobiście prośbę, udziela dyspensy. Następnie Kardynał Prefekt potwierdza udzielenie dyspensy, zaznaczając to na przygotowanej relacji. (...) Następnie się podpisuje.*

Sobczak opisuje również skutki papieskiej dyspensy od małżeństwa ważne zawartego, a niedopełnionego, po czym – w ramach załączników – zamieszcza pisemny wzór prośby o tego rodzaju dyspensę wraz z podaniem przypadku (kasusu), a także przykładowe pytania do stron i świadków.

W dalszej części autor zajmuje się zagadnieniem rozwiązywania węzła małżeńskiego na korzyść wiary. Kwestia ta dotyczy jedynie sytuacji, gdy przynajmniej jeden ze współmałżonków jest nieochrzczony. Tej kwestii poświęca więcej uwagi niż poprzedniej, choć nie wydaje się ona nazbyt częsta w polskich sądach kościelnych. Ostatnia, szósta, część została zatytułowana: „Tytułem uzupełnienia:

Rozwód w polskim prawie cywilnym". Jednak oprócz rozwodu autor podejmuje tutaj także zagadnienie separacji w prawie cywilnym.

Język, którym posługuje się autor, jest przystępny i dostosowany do osób, które nie są zaznajomione z terminologią prawną-kanoniczną. Z drugiej strony tam, gdzie jest to niezbędne, Sobczak posługuje się fachową terminologią. Widać, że autor umiejętnie potrafi wiązać teorię z praktyką. Dlatego też jego poradnik należy polecać nie tylko tym, których bezpośrednio dotyczą problemy opisane w nim, ale wszystkim, którzy chcą znaleźć odpowiedź na pytanie: Czy można się rozwieść po katolicku?

Marek Błaza SJ

OCALIĆ BOGA CZY OCALIĆ WIARĘ?

Ks. Andrzej Draguła

Ocalić Boga. Szkice z teologii sekularyzacji

*Biblioteka „Więzi”,
Warszawa 2010, ss. 252.*

Refleksja nad sekularyzacją, zagrożeniem, jakie stwarza, i tym, jak mu przeciwdziałać, jest niezwykle istotna. Być może jednak ambitniejszym zadaniem jest odpowiedź na pytanie o sens sekularyzacji, a dokładniej o teologiczny sens tego procesu. Wydaje się, że właśnie to jest zasadniczy motyw recenzowanej książki. Ksiądz Dragułę pociąga myśl, że *sekularyzacja jest zjawiskiem na wskroś teologicznym, nieodłącznym elementem chrześcijańskiego objawienia, procesem wpisanym w historię zbawienia*.

Ksiądz Andrzej Draguła jest pracownikiem naukowym Wydziału Teologii Uniwersytetu Szczecińskiego. Jest też laureatem Nagrody Dziennikarskiej „Ślad” imienia Biskupa Jana Chrapka za rok 2010. Książka wydana przez Bibliotekę „Więzi” to zbiór starannie przepracowanych esejów, z których większość